PL ISSN 0239-2720
Nr indeksu 363661

magazyn 997 kryminalny

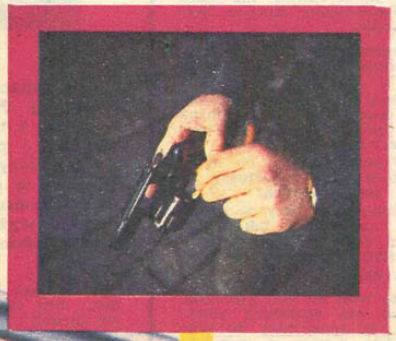
NR 8 (1875) ● 4 III 1990 ● CENA 1200 ZŁ

- KASKADER PRZESTĘPCZEGO ŚWIATA
- U POLICJANTÓW Z MIAMI
- MILICYJNI KOMANDOSI
- CZARNE PIOTRUSIE
- POTYCZKI RYCERSKIE W POZNANIU
- ŁABĘDŹ I TERRORYSTA
- ZABÓJSTWA W POLSCE

5 1990

zdjęcia Paweł Szlachetko













Spotkanie Lecha Wałęsy ze związkowcami

„MOŻECIE NA MNIE LICZYĆ"

Uśmiechnięty, z rękami w geście pozdrowienia, wszedł do sali jednego z budynków WUSW w Gdańsku na Biskupiej Górze — powitany owacyjnymi brawami zebranych — LECH WAŁĘSA, przewodniczący NSZZ „Solidarność". Przyjął zaproszenie i był gościem w pierwszym dniu obrad KKK NSZZ FMO. W imieniu związkowców-milicjantów powitał go serdecznie przewodniczący KKK kpt. Roman Hula, który powiedział między innymi:

— Podjęliśmy pracę w tym resorcie, wierząc, że będziemy stróżami prawa, tymczasem oszukiwano nas i wykorzystywano. Doprowadzono do tego, że polski student wołał do polskiego milicjanta „ty gestapowcu". Wielu rozgoryczonych funkcjonariuszy odeszło. (...) Pierwsi nasi związkowcy zostali w 1981 roku wyrzuceni na bruk, z chwilą powstania pierwszego niekomunistycznego rządu ruch odrodził się w całym kraju. Dziś jesteśmy silni i zjednoczeni.

Z kolei do mikrofonu podszedł Lech Wałęsa, by z właściwą sobie swobodą i swadą zwrócić się do policyjnego audytorium (oraz do grupy dziennikarzy z telewizji, radia i prasy).

— Nigdy nie byłem wrogo nastawiony do waszej służby, wiedziałem, że jest ona bardzo trudna. Miałem natomiast pretensje, że nie walczycie o swoją pozycję. Powiem tak: miałem pretensję o to, że nie macie do siebie pretensji. Czekałem. Trzymałem się z daleka od pierwszych waszych spotkań, żeby nikt nie posądził o to, że znów jesteście wykorzystywani. Nikt wami nie będzie manipulował ani partia, ani „Solidarność", musicie być bezstronni! Jeszcze dziś miałem wątpliwości, czy powinienem przyjąć wasze zaproszenie.

Nie będę ingerował. Pozwoliliście na to, że ktoś wami grał. Teraz róbcie spokojnie to wszystko dla siebie, jak potraficie — a policjant ma wielkie doświadczenie, obrywaliście i obrywacie. Co zrobimy, jeśli was zabraknie w tym trudnym okresie? Nie macie kadry, następni odchodzą z milicji, a ludzie się boją chodzić po ulicy, bo chuliganeria szaleje. Macie tego prawa chronić. Ponad wszystko.

Następnie Lech Wałęsa zachęcił do zadawania pytań i zapowiedział, że pożegna zebranych dopiero wtedy, gdy udzieli odpowiedzi na wszystkie, nie limitując czasu.

— Panie Przewodniczący, jak ocenia Pan naszą szaroniebieską rzeczywistość na tle innych policji świata?

— To jest ważna służba i najcięższy zawód jaki znam. Fatalnie zarabiacie i nie macie żadnego szacunku, co oczywiście związane jest z całą poprzednią sytuacją. To się musi zmienić.

— Jak wyobraża Pan sobie rolę związku zawodowego MO wobec np. związku w zakładzie pracy?

— Kiedy zaczynaliśmy w 80 roku, naszym hasłem był chleb, trzy kropki i po cichu „wolność". Gdybym dziś zaczynał, to walczyłbym o wolność, która przyniesie chleb. „Solidarność" jest ruchem reform różnym w różnym czasie. Nie znam waszych najważniejszych potrzeb, to wy macie powiedzieć co was boli, to wy będziecie chronić i uszlachetniać wasz zawód. Nikt nie ma wzorów.

— „Okrągły stół" był dawno, wtedy oddano nas i MON w ręce PZPR. Co dziś? Czekamy na naszego Balcerowicza.

— Kiedyś chciałem czekać cztery lata i dopiero zrobić skok na bank. Stało się inaczej. Teraz partia się rozwiązała. Co byśmy nie powiedzieli o generale Kiszczaku, mamy dużo skrupułów, był współautorem „okrągłego stołu", choć to dziś fakt historyczny. Czekamy na wasze propozycje, a premier niech wybiera, uważajcie tylko, żeby wam nie wcisnął jakiegoś... pielęgniarza.

— W Gdańsku, w Poznaniu, w innych miastach są organizowane pod różnymi hasłami manifestacje, przeradzające się niejednokrotnie w awantury i rozróby. Co Pan o tym sądzi?

— Polska jest wszystkich. Jeśli prawo będzie łamane, to sam wezmę pas i w dupę wleję! Trzeba zrobić jakieś miejsce, żeby różni ludzie mogli się wypowiedzieć, to trzeba uporządkować. W każdym razie nie można dalej łamać prawa, nie może każdy i w dowolnym miejscu manifestować sobie.

— Są przypadki, że funkcjonariusze MO tworzą związek zawodowy „Solidarność".

— Nie wolno, nie zgodziłbym się. To ładnie brzmi, ale jak można być ponad, będąc „w". Związki mają być niezależne.

— Panie Przewodniczący, co myśli Pan o udziale funkcjonariuszy w samorządach terytorialnych?

— Udział funkcjonariuszy w samorządach — oczywiście tak, wasz związek czy inne organizacje muszą uczestniczyć. Nic o was bez was.

— A co z SB?

— SB? — to wbił mi pan gwoździa. Społeczeństwo ma określony stosunek do SB, ja spokojniej do tego podchodzę. Nie mówię o decydentach, ale z większością tych „robotników", którzy mnie pilnowali, szło się dogadać. Normalnych ludzi, którzy mają jakąś moralność, trzeba potraktować jak ludzi. Wybaczmy jako chrześcijanie. Chociaż jestem za likwidacją SB.

— Oni, z SB, rozbijali nasz związek, a teraz mają przyjść do nas?

— Dostaną polecenie, to będą was bronić, to tacy dyspozycyjni ludzie. (Śmiech, brawa). Nie można tylko domagać się rewanżu, musimy być humanitarni, nie wolno dyskryminować ludzi.

— Nadal w kierownictwie resortu zdarzają się postawy odrzucania zachodzących przemian, a nawet próby przeciwstawiania się im.

— Jeśli spróbują — przegrają! Ale potem będą ostrzej rozliczeni. Nie mają na co liczyć.

— Czy policjant może należeć do jakiejś partii?

— Nie, dzisiaj nie.

— Jaki jest Pana stosunek do naszych „przywilejów"?

— Musicie jako związek wyjaśniać ludziom jak jest naprawdę. Powiedzcie im — zamiast zazdrościć idź i pracuj. System specjalnie tak robił, żebyśmy się gryźli między sobą.

— Panie Przewodniczący, dysponujemy archaicznym sprzętem.

— Naród musi wam dać, żeby móc żyć spokojnie. Nie wyobrażam sobie, by nasza policja odstawała od innych. Znam te wasze samochody, to przecież żebractwo, ale cały kraj tak wygląda.

— Czy kapral Wałęsa chciał kiedyś być milicjantem?

— Nie, moi drodzy, podziwiam was, to za ciężka służba, te noce i tak dalej. To nie dla mnie.

Na tym wyczerpała się lista pytań. Lech Wałęsa dodał jeszcze: — Potrzebujemy dobrych stróżów porządku. Popieram was, naprawdę możecie na mnie liczyć. Zróbmy Polskę wielką, sprawiedliwą, nas wszystkich uśmiechniętych, choć na razie biednych. Polskę, o jakiej marzyli nasi ojcowie.

Potem sam zadał pytanie: — Pierwszy raz jestem z milicjantami, ja was popieram, a wy? Kto popiera mnie?

W odpowiedzi uniósł się las rąk.

JOLANTA ŚLIFIERZ

Tekst nie był autoryzowany. Relacja — z konieczności — skrótowa.





ZWIĄZKOWCY O POLICJI

W dniach 13—14 lutego odbyło się w Gdańsku III posiedzenie **Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ FMO.** Dyskusja była burzliwa i trwała do późnych godzin wieczornych. Ścierały się stanowiska i poglądy — od nacechowanych spokojem i rozwagą aż po te, którymi bardziej rządziły emocje. **Wiele złego działo się do tej pory w naszym środowisku zawodowym, nagromadziło się w ludziach poczucie krzywdy, głos milicjanta „z dołów" nie mógł się przebić wyżej, nie było po prostu takiego społecznego ciała czy forum, gdzie o ludzkie sprawy można by się upominać.**

Wiele jest więc do naprawienia, ale... Jest takie powiedzenie „spiesz się powoli". Działanie na hurra nie tylko może zaszkodzić samej idei, ale też może wywołać konsolidację przeciwników młodego przecież ruchu związkowego.

Dobrze się stało, że w toku spotkań i rozmów wypracowano wspólne, kompromisowe stanowisko — nie, wcale nie konserwatywne i ugodowe, uwzględniające natomiast realia. Ktoś umiejętnie ostudził rozpalone głowy, mówiąc „zejdźmy z obłoków, związki nie są od rządzenia tym krajem czy resortem". Z drugiej strony, nie chcę powiedzieć, że koledzy zza prezydialnego stołu mają monopol na rację. A poza tym — gdyby prezydium wcześniej i w rzetelny sposób przygotowało przedstawienie zagadnień, pozwoliłoby to uniknąć początkowego chaosu. Na razie przecieramy szlak i uczymy się stawiania problemów, które do wczoraj były tabu (np. stosunek do szefów czy do SB).

Co przede wszystkim było tematem dyskusji?

Oceniono nierówny poziom i efekty działalności związków zawodowych w poszczególnych województwach, nie wszędzie koledzy do tej pory nawet potrafili się zorganizować. **Mówiono o akcjach protestacyjnych,** ich efektach, sposobach przeprowadzania. **O tym, jaki powinien być przyszły policjant.** Zebrani, po wysłuchaniu szczegółowej relacji ze spotkania Prezydium z kierownictwem resortu spraw wewnętrznych, wyrazili opinie na temat jego przebiegu i decyzji tam podjętych. Mówiono również o służbie zdrowia i sprawach płacowych.

Obrady KKK NSZZ FMO zaowocowały podjęciem liczącej 20 punktów uchwały. Wedle jej zaleceń ostateczny skład personalny KKK musi być ustalony do **28** lutego.

Prezydium upoważnione zostało do powołania pełnomocnika (adwokata), który reprezentowałby ją jako Komitet Założycielski w procesie rejestracyjnym związku w sądzie. Zobowiązano Komisję Statutową do zakończenia prac nad projektem statutu, niezwłocznie po uchwaleniu pakietu ustaw regulujących sytuację prawną związku.

Zalecono, aby przy wystąpieniach do kierownictw służbowych oraz podejmowaniu akcji protestacyjnych przyjęto następujący tryb postępowania — komitety założycielskie podejmują działalność wyłącznie na swoim terenie, a działania rozszerzające prowadzą wyłącznie przez WKZ i dalej — KKK. W przypadku każdej akcji niezbędne jest: wyraźne określenie żądania, wyznaczenie terminu jego realizacji, określenie kolejnych konsekwencji niespełnienia żądania, podanie informacji o akcji oraz jej celach do publicznej wiadomości, powiadomienie o akcji WKZ i KKK. Zaapelowano jednocześnie, aby do czasu uchwalenia przepisów dotyczących resortu powstrzymać się od akcji protestacyjnych.

Podkreślono, że nadal aktualne są ustalenia uchwały z Kiekrza i KKK będzie konsekwentnie zmierzać do ich realizacji.

Jedna z działających komisji przygotowała projekt kryteriów weryfikacyjnych (uwzględniających staż służby, jej przebieg itp.), który zostanie przesłany do konsultacji w terenie.

KKK raz jeszcze stanowczo stwierdziła, że w interesie funkcjonariuszy, których reprezentuje, leży sprawa pełnej niezależności związku od innych związków, partii politycznych itp. Zaapelowano do przedstawicieli wojewódzkich struktur związkowych, aby w trybie pilnym spotykali się z posłami swych ziem w celu przekazywania uwag i postulatów odnośnie pakietu ustaw „policyjnych".

Opowiedziano się jednomyślnie za utrzymaniem resortowej służby zdrowia w obecnym kształcie do czasu generalnego rozwiązania problemu opieki zdrowotnej we wszystkich resortach. Zobowiązano też Prezydium do zbadania sprawy tzw. dodatku żywnościowego i poinformowania o tym wszystkich WKZ.

KKK wyraziła akceptację dla działalności Komisji Legislacyjnej, udzieliła jej swego poparcia i powierzyła prezentowanie stanowiska związków. **Najważniejsze na dziś bowiem jest przyspieszenie tempa prac legislacyjnych, w tym zabezpieczenie interesu funkcjonariuszy policji oraz policji jako odrębnej instytucji, a także pilna nowelizacja ustawy o związkach zawodowych.** Musimy przetrwać ten okres przejściowy, czekając na jak najszybsze rozstrzygnięcia.

Aktywna działalność związkowa funkcjonariuszy nie pozwoliła im ani na chwilę zapomnieć, że przede wszystkim są stróżami porządku. Widzimy, co dzieje się na ulicach naszych miast i wsi, wszyscy jesteśmy zatroskani rozzuchwaleniem i poczuciem bezkarności przestępczego światka. W tej ciężkiej sytuacji **KKK NSZZ FMO zaapelowała do funkcjonariuszy MO, aby szczególnie w okresie prac legislacyjnych wzmogli wszelkie wysiłki na rzecz zwalczania przestępczości w celu utrzymania, a nawet poprawy obecnego stanu bezpieczeństwa.** Ten apel na pewno nie pozostanie bez echa.

JOLANTA ŚLIFIERZ

BYĆ KOBIETĄ

Dzień Kobiet z pewnością wymyślił mężczyzna. W dodatku antyfeminista! Tym mistrzowskim pociągnięciem upiekł kilka pieczeni na jednym rożnie. Po pierwsze, zapewnił całemu rodowi męskiemu doskonałe alibi wobec zarzutów o supremację. Wszak władca nie czci swego sługi! Po drugie, zaspokoił swoją próżność — któż nie lubi występować w roli dobroczyńcy? — a ponadto stworzył sobie okazję doskonałej zabawy.

Nie ulegajmy bowiem magii słów. To nie panie, lecz panowie są prawdziwymi bohaterami owego dnia. Te armie rozanielonych jegomościów różnego wieku, postury, obfitości owłosienia, ganiających z kwiatkami przez tysiące biur, całujących buźki i rączki, łykających niezliczone filiżanki kawki lub herbatki, pożerających ciastka i kanapki, nie gardzących ani zwyczajną gorzałą, ani luksusowym koniakiem.

Gdzież jest bowiem osławiona równość płci, jeżeli chodzi o pozycję społeczną kobiety i mężczyzny np. w małżeństwie? Proponowany nieśmiało układ partnerski wciąż pozostaje pożądanym acz odległym ideałem. Utrwalony wiekowymi zwyczajami podział ról obarcza tę pierwszą niemałymi obowiązkami. Od rana na pełnych obrotach. Ekwipuje dzieci do szkoły, a potem gna do pracy z wywieszonym językiem. Po fajrancie z prawie oberwanymi od siatek ramionami obiega sklepy, patrząc z przerażeniem, jak szalejąca inflacja uszczupla zasoby jej gotówki. W domu wrzuca byle co do garnka, sprząta, pierze, prasuje, ba, odrabia lekcje za dzieciaki, by wieczorem zasnąć w połowie „Labiryntu".

Nie sposób też wyobrazić sobie funkcjonowania policyjnych „tyłów" bez rzesz referentek, maszynistek, telefonistek, sekretarek czy sprzątaczek. Czy potrafimy doceniać ich wysiłki? Uderzmy się w piersi...

Nawet przy okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet nie umiemy wznieść się nad poziomy. Pamiętam karykaturalne wypaczenia idei kobiecego święta, gdy obchody organizowano nie z potrzeby serca, a tylko dlatego, iż tak decydowały wytyczne. Jakże często, mimo że stanowiły one żelazny punkt w planach pracy ideowo-wychowawczej, powielano sztampę i banał. Widziałem „uroczystości", na których gwoździem programu bywała pogadanka albo informacja polityczna. Znam szefów jednostek jak ognia unikających spotkań z żonami swych podwładnych.

W zeszłym roku kierownictwo MUSW w... przyznało 8 marca pewne kwoty funkcjonariuszkom i pracownicom cywilnym. Tylko komuś nie starczyło wyobraźni, a może krzty kultury, by potraktować wszystkie jednakowo. Najwięcej wzięły sekretarki szefów, najmniej emerytki zatrudnione na pół etatu i sprzątaczki. Zamiast radości wywołano zawiść, a nawet — nie kłamię! — łzy rozgoryczenia.

Postarajmy się w bieżącym, trudnym roku, uniknąć takich sytuacji.

A.

Kartki z NOTESU

Dyskusje o milicji nie mają końca. Okazuje się, że znawców problemów milicyjnych jest co najmniej tylu, ilu fachowców od porad lekarskich, czyli wszyscy. Niestety, i w jednym, i w drugim przypadku, „leczeniem" zajmują się partacze.

Czytam, ślęczę przed telewizorem, wysłuchuję opinii dziennikarzy radiowych i ostatni włos na mojej głowie staje dęba. Za uzdrowieniem sytuacji w milicji, polepszeniem skuteczności jej działań, głosować powinien każdy zdrowo myślący Polak. Ale droga do uzyskania takiego stanu rzeczy też powinna być rozsądna. Tymczasem...

*

Mnożą się ataki na milicję. Z jednej strony zarzuca się stróżom porządku bezczynność, z drugiej zaś zbytnią gorliwość w wykonywaniu obowiązków, czyli nadużywanie władzy.

Ostatnimi czasy różne grupy młodocianych pseudopolityków i pseudokibiców poużywały sobie na ulicach. Była okupacja budynków publicznych połączona z dewastacją tychże, były draki uliczne pałających nienawiścią do siebie kibiców... i do wszystkiego co stoi na ich drodze, były dziesiątki innych incydentów naruszających porządek. Zarzucano milicji bezczynność. I słusznie. Więc oddziały prewencji, za zgodą rządu, wysłano do akcji, było pałowanie, polewanie wodą i gazowanie. Tak jak wszędzie w praworządnym świecie. Oberwali milicjanci, niektórzy nawet tęgo. Ochrzczono ich policją Mazowieckiego.

*

Niektóre pisma i pisemka, a także komentatorzy telewizyjni i radiowi, zaczęli prześcigać się w szkalowaniu ludzi w mundurach. Szczególnie oburzyła ich interwencja w centrum Warszawy, przed Salą Kongresową, gdzie właśnie rozwiązywano PZPR. Podobno warszawski oddział prewencji zachowywał się brutalnie. Ktoś tam dostał za mocno, komuś uszkodzono fotoaparat. Zirytował się Senat, który zaczął rozliczać... milicjantów.

Może ktoś oberwał przypadkowo, może uciekając z rejonu utarczek zgubił but. Tak bywało. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Prawda to znana od wieków. W takiej akcji wszystko może się wydarzyć. Fotoreporterzy też ryzykują i powinni to wkalkulować w koszta pobytu w rejonie zagrożenia. Dziennikarze „MK 997" znajdując się w takich sytuacjach, nieraz obrywali milicyjną pałką od kolegów, ale znosili to po męsku.

Moim zdaniem, wyjścia są dwa: albo interweniować godząc się na wynikające stąd konsekwencje, albo dać wolną rękę rozrabiaczom. Co lepsze?

*

Strzały w centrum Warszawy mocno podekscytowały niektórych dziennikarzy. Milicja strzela i bije! Żądamy ujawnienia winnych. Oto interpretacja napaści kilkunastu uzbrojonych w pręty młodzieniaszków na patrol milicyjny. Doszło do strzelaniny, na szczęście bez groźnych następstw. Czy był inny wybór?

*

Milicja zatrzymała młodego człowieka opuszczającego z łupem rozbitą wystawę sklepową. Gdzieś wyciągnięto z mieszkania dwóch „opiekunów" cudzego mienia. Prokuratorzy nie dali wiary faktom, bo ujęci przez milicję... nie przyznali się do winy.

W pewnym mieście wyrwano z rąk milicji gwałciciela. Grupa „wyzwoleńcza" nawet nie znała odbitego.

Przykłady utrudniania pracy milicjantom można mnożyć. Zawiłe są drogi demokracji, zwłaszcza gdy podstawia się jej nogi.

*

Milicja nie jest święta. Święte jest jej prawo do samoobrony, również przed niesłusznymi pomówieniami i szkalowaniem. Wydaje się, że obibok czy ewidentny przestępca często znajduje więcej zrozumienia niż stróż porządku.

Niczego dobrego to nie wróży. Rezultaty już mamy. Będzie gorzej. Chyba że stworzony zostanie odpowiedni klimat do walki z przestępczością, bez politycznych rozrachunków i kombatanckich żalów.

Nie ma na świecie policji ugrzecznionej i złożonej z aniołków. To twarda służba, bo takie jest życie. Pojedynek ze złem musi mieć mądrych kibiców.

Wiktor

ZWIĄZKOWCY Z „997"

19 lutego powstał w redakcji „Magazynu Kryminalnego 997" Komitet Założycielski NSZZ FMO.

Jako funkcjonariusze chcemy walczyć o nową, sprawną, fachową i przez nikogo nie manipulowaną policję, służącą społeczeństwu. Jako dziennikarze w mundurach pragniemy być reprezentantami funkcjonariuszy „z dołów", przedstawiać ich problemy, upominać się o ich racje.

J.

OGŁOSZENIA

Redakcja „Magazynu „Kryminalnego 997" przyjmuje do druku ogłoszenia. Można je składać w siedzibie redakcji lub nadsyłać pocztą pod adresem: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30.

Wpłatę można przekazać osobiście lub przesłać przekazem pocztowym według wyliczenia 3000 zł za słowo lub 6000 zł za cm².

Treść ogłoszenia można umieścić na odwrotnej stronie odcinka dla adresata lub przesłać w kopercie z dopiskiem „Ogłoszenia".

Redakcja „MK 997"

JEŚLI NIE CHCESZ MOJEJ ZGUBY ZA 1200 KUP MNIE LUBY

Podwyżki są na razie, niestety, żywotną koniecznością. Teraz tylko o 200 złotych, choć KALKULACJA krzyczy o więcej. Nie ulegamy zbytnio tej wymagającej pani. Sądzimy, że Czytelnicy złagodzą nasze rozterki. Pozostaną wierni pismu. Bo z „Magazynem Kryminalnym 997" jednak bezpieczniej.

UWAGA CZYTELNICY!

Z datą 18 marca 1990 roku ukaże się szósty w br. numer „MK 997". Na jego łamach znajdziecie stałe pozycje o pracy funkcjonariuszy milicji, zwalczaniu patologii społecznej, reportaże kryminalne, materiały o policjach i przestępczości za granicą.

W numerze zamieszczamy kolejny „Sezam 997", następne odcinki seriali o Z. Najmrodzkim i J. Maliszewskim, a także nową pozycję KRYMINALNE VIDEO.

UWAGA PRENUMERATORZY!

Przypominamy, że zgodnie z zapowiedzią wpłaty półroczne i roczne dokonane w 1989 roku przez kolporterów z jednostek MSW i MON oraz zakładów pracy i instytucji stanowiły zaliczkę na poczet prenumeraty „MK 997" w 1990 roku. Wpłaty półroczne pokrywają koszt prenumeraty w I kwartale. Toteż wszyscy prenumeratorzy półroczni pragnący korzystać z prenumeraty zbiorowej w II kwartale 1990 roku powinni wpłacić swemu kolporterowi odpowiednią kwotę. Koszt prenumeraty: 6500 złotych. Zamówienia należy kierować pod adresem: RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centralny Kolportaż Wojskowy, ul. Wronia 29/31, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 2039. Konto: CKW w PBK XIII O/Warszawa nr 370044-001632. Termin wpłat: 10 marca 1990 roku. CKW nie przyjmuje wpłat na prenumeratę indywidualną.

Ze względu na nieustający wzrost kosztów wydawniczych redakcja zmuszona jest zastrzec sobie prawo ewentualnej zmiany wymienionej kwoty.

DLA KOGO SZPITAL?

Zaofiarowanej raz pomocy ludziom chorym nie można odebrać — stwierdzili przedstawiciele NSZZ Funkcjonariuszy MO SUSW kpt. Jan Strzeliński, por. Wojciech Łabędź i st. sierż. Janusz Miszkiewicz na spotkaniu z dyrektorem Departamentu Zdrowia i Spraw Socjalnych MSW płk. dr. Lesławem Gindą, dyrektorem Instytutu Medycyny Klinicznej MSW płk. prof. dr. hab. med. Ryszardem Jackiem Żochowskim, dyrektorem SZZ płk. lek. Henrykiem Wasiakiem oraz rzecznikiem dyscyplinarnym Okręgowej Izby Lekarskiej MSW płk. lek. Aleksandrem Kotlickim.

Spotkanie to odbyło się następnego dnia, po ogłoszeniu w TV komunikatu o podpisaniu porozumienia o współpracy Instytutu z Wydziałem Zdrowia i Opieki Społecznej m. st. Warszawy, dotyczącego zapewnienia leczenia szpitalnego wraz z przeprowadzeniem wymaganych specjalistycznych badań diagnostycznych (a nie — jak podała TV — udostępnienia również lecznictwa otwartego w Poliklinice na Komarowa) osobom zamieszkałym na terenie ZOZ nr 3 Warszawa-Mokotów (tj. 110 tys. osób, a nie całego Ursynowa — 200 tys. osób — co również podała TV).

Komunikat ten wywołał ogromne poruszenie wśród funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych zamieszkałych w stolicy. Podjęcie takiej decyzji, bez uprzedniego uzgodnienia z przedstawicielami NSZZ FMO — reprezentantami grupy zawodowej, która ze swoich składek wybudowała szpital — było kolejnym przejawem arogancji władzy.

A przecież 26 stycznia br. na spotkaniu Prezydium KKK NSZZ FMO z ministrem spraw wewnętrznych gen. broni Czesławem Kiszczakiem podpisane zostało porozumienie, w którym uznano NSZZ FMO jako jedyną reprezentację interesów funkcjonariuszy. Z nią więc, na mocy tego porozumienia, należało konsultować wszystkie decyzje dotyczące życiowych spraw, a taką jest niewątpliwie ochrona zdrowia funkcjonariuszy.

Przedstawione przez dyrektora instytutu argumenty o próbie integracji milicji ze społeczeństwem, zostały odebrane przez związkowców jako szukanie taniego poklasku. Nie są to bowiem czasy, kiedy można podejmować tzw. polityczne decyzje bez rzetelnego rozliczenia się z możliwości ich realizacji. A oszukane zostało zarówno społeczeństwo Ursynowa, jak i funkcjonariusze oraz emeryci uprawnieni do leczenia w Instytucie Medycyny Klinicznej MSW. Szpital bowiem, do 1 marca br., musi nadal na mocy dawnych umów, przyjmować podopiecznych z tzw. klucza. Bo trzeba jasno powiedzieć, że poza uprawnionymi z garnizonu warszawskiego funkcjonariuszami, żołnierzami, strażakami oraz emerytami resortu i ich rodzinami (łącznie około 17 tys. osób) z lecznictwa MSW korzystali: pracownicy KC PZPR i ich rodziny, pracownicy KW i ich rodziny, pracownicy Komitetów Wojewódzkich z Ciechanowa, Siedlec, Płocka, zasłużeni emeryci i renciści partyjni, działacze ZSMP, pracownicy NiK, prokuratorzy, pracownicy Służby Więziennej, Sądu Najwyższego, członkowie ZBoWiD, zasłużeni uczestnicy walk w Hiszpanii itd., itp. (Łącznie 20 grup uprawnionych pozaustawowo).

Grupa pozaustawowa jest na tyle liczna, że na jej miejsce śmiało mogą wejść mieszkańcy Ursynowa. Sprawę jednak — zdaniem związkowców — należało najpierw uregulować podejmując decyzję o przekazaniu do tzw. lecznictwa otwartego (w rejonie zamieszkania) wymienionych podopiecznych i przyjąć na ich miejsce nowych. Lekarzom chyba nie powinno się przypominać o zasadach humanitarnego działania. Tymczasem stworzono fikcję. W br. na miejsce w Instytucie Medycyny Klinicznej MSW oczekuje blisko 700 osób. Zapisując pacjentów w lutym na oddziały interny, chirurgii, ortopedii wyznaczono terminy przyjęcia na połowę kwietnia. Wynika to również i z tego, że w związku z remontem szpitala praskiego z instytutu korzysta 60 000 pacjentów ZOZ Praga-Południe i 15 000 dzieci z Mokotowa.

Co więc szpital może od 1 marca zaoferować mieszkańcom Ursynowa? — pytali związkowcy. Oczekiwanie w kolejce, złudzenia — kolejną papierową decyzję podjętą w zaciszu gabinetów.

Milicjanci chcą pomagać społeczeństwu. Chcą jednak wiedzieć kto i dlaczego podejmuje decyzje w ich imieniu oraz czy te decyzje mają gwarancje realizacji?

Porozumienie podpisane przez dyrektora Instytutu Medycyny Klinicznej MSW z lekarzem wojewódzkim takich gwarancji od 1 marca 1990 roku nie dawało. Dlatego związkowcy po dyskusji dotyczącej wszystkich — nie zawsze jednoznacznych — problemów związanych z funkcjonowaniem instytutu (o tym napiszemy później) zobowiązali dyrekcję do opublikowania wypracowanego wspólnie oświadczenia:

W związku z toczącą się debatą parlamentarną nad przyszłym kształtem MSW, Policji i Urzędu Ochrony Państwa do chwili stworzenia nowych struktur organizacyjnych i funkcjonalnych resortu spraw wewnętrznych oraz definitywnego uściślenia grup uprawnionych do świadczeń w resortowej służbie zdrowia zmuszeni jesteśmy potraktować zawarte porozumienia z lekarzem wojewódzkim jako wstępne, a realizację przyjętych wcześniej postanowień przenieść na okres późniejszy.

Z ramienia prezydium NSZZ FMO do „pilotowania" sprawy faktycznego korzystania mieszkańców Ursynowa z Instytutu Medycyny Klinicznej MSW upoważnieni zostali, wymienieni na wstępie, funkcjonariusze związkowcy. Oni też zwracają się do mieszkańców Ursynowa z prośbą, by zaakceptowali przyjęte przez nich postanowienia. Dla wszystkich potrzebujących pomocy liczą się bowiem nie fikcyjne a realne decyzje.

ELŻBIETA CIERLICA



Niedługo przed północą 16 lutego br. w Studium Otwartym TV przy ul. Woronicza w Warszawie zrobiło się gorąco. Większość uczestników tego poświęconego zmianom w resorcie spraw wewnętrznych spotkania była na ten upał przygotowana. Na sali znaleźli się senatorowie i posłowie, przedstawiciele kierownictw MSW i KG MO, działacze powstających niezależnych związków zawodowych funkcjonariuszy MO, naukowcy, dziennikarze, politycy bardziej i mniej znani oraz zwykła publiczność, wśród której wyróżniali się stali bywalcy programów tego studia.

W HYDE PARKU NA WORONICZA



MILICJA INFORMUJE

(Wybór zdarzeń kryminalnych)

HORROR

● 1 lutego we Wrocławiu w jazie elektrowni wodnej ujawniono paczkę z ludzką nogą. W wyniku poszukiwań odnaleziono drugą paczkę z częścią tułowia. Ustalono, że są to fragmenty zwłok kobiety w wieku 50—60 lat, rozkawałkowanych po zgonie.

● 2 lutego we Wrocławiu przy ul. Klecińskiej w piwnicy altanki na działce znaleziono zwłoki Kazimierza K. Były one obnażone i zawinięte w koc, miały związane nogi. 3 lutego milicja zatrzymała sprawcę zabójstwa Janusza R. Wyjaśnił on, że zabójstwa dokonał 29 grudnia ub.r. w mieszkaniu ofiary, skąd zrabował 12 mln zł. Później przemieścił zwłoki.

● 4 lutego około godz. 1.40 w Słupsku do mieszkania Władysława S. wtargnęło 3 mężczyzn, którzy pobili właściciela. Następnie ci sami sprawcy wtargnęli do mieszkania Jana S., gdzie grożąc użyciem noża jego konkubinie zrabowali telewizor. Później, po wyważeniu drzwi do mieszkania przy ul. Długiej, każdy z nich ugodził nożem konkubenta Marzeny O. — Mariana S., którego umieszczono w szpitalu. Ustalono, że jednym ze sprawców jest Jan R. (lat 29), wielokrotnie karany, zam. w Mierzeszynie (woj. gdańskie). Wszczęto poszukiwania.

● 7 lutego około godz. 10.30 do mieszkania Jerzego M. w Chrzanowie wtargnęło 2 mężczyzn. Jeden z nich zgwałcił Dorotę M. (lat 15), a następnie pozbawił ją życia. Po ukradzeniu 500 tys. zł sprawcy napadu zbiegli. Milicja zatrzymała podejrzanych Jana Ch. i Józefa M.

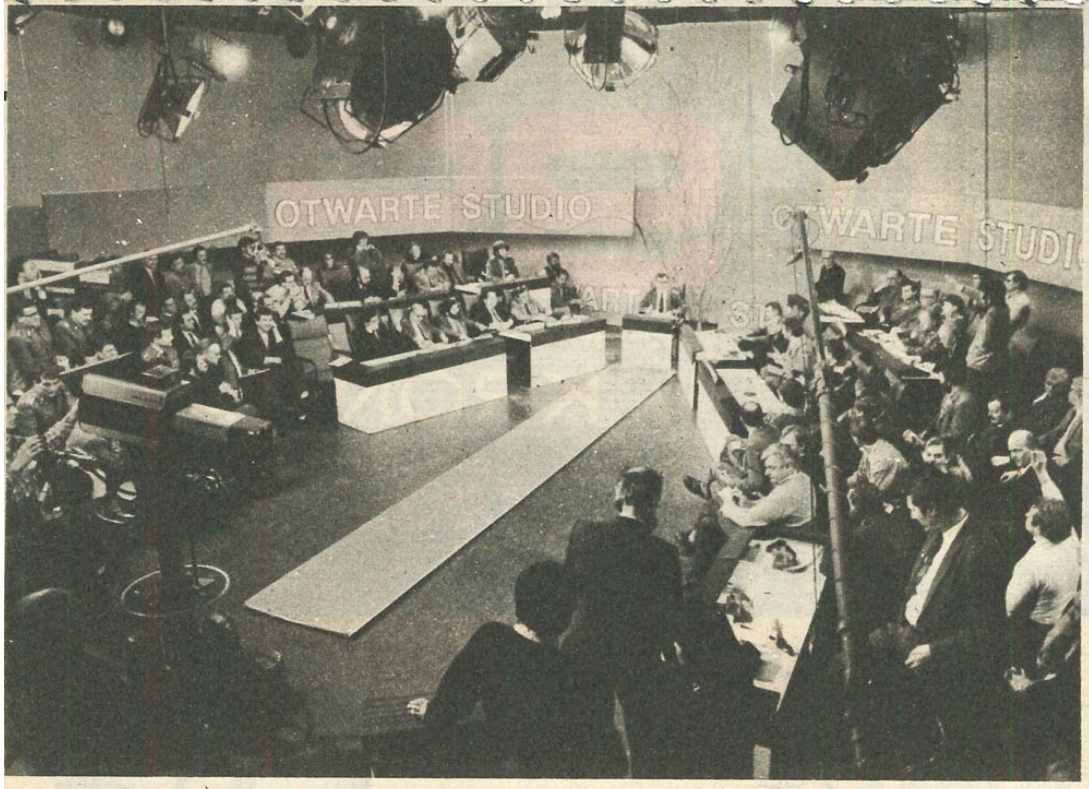
● 10 lutego w Warszawie w mieszkaniu Danuty M. znaleziono zwłoki sublokatora Sławomira S. Denat miał związane ręce na plecach i knebel w ustach. Na jego głowie stwierdzono 4 rany tłuczone. Zgon nastąpił przed kilkoma dniami.

ROZBÓJ W KAWIARNI

● 2 lutego wieczorem w kawiarni „Zodiak" w stolicy dokonano rozboju na Edycie Z. (lat 18), którą sterroryzowano żyletką. Następnie napastnicy zmusili pokrzywdzoną i jej koleżanki Ewę J. (lat 16) i Annę F. (lat 16), aby przeszły z nimi do hotelu „Polonia". Tam zostały zgwałcone i okradzione. Funkcjonariusze MO zatrzymali podejrzanych: Jacka T., Macieja N., Krzysztofa U., Wiesława B., Jerzego K. i Bogusława K.

PRZYWIĄZANY DO DRZEWA

● 2 lutego nad ranem Ryszard D. z Rudy Śląskiej wsiadł do swego malucha, w którym został zaatakowany przez 2 mężczyzn. Zmusili go



Spotkanie rozczarowało większość. Sprowadziło się bowiem do typowo polskiego rozdrapywania ran, wyważania otwartych drzwi, powtarzania deklaracji, a także — co ważniejsze — upartego dobijania się prawa głosu przez osoby, które, jak ryby, nie są wokalistami. W rezultacie słów padło bardzo wiele (program zakończył się po godz. 3.00), diagnoz i wniosków było mało.

Osobiście uważam, że największą wartością tego spotkania było przekonanie się, że między resortem (zwłaszcza milicją) a społeczeństwem przepaść jest jakby częściowo zasypana. Z wyjątkiem głosów tzw. nawiedzonych, których jest zawsze sporo, a których z reguły nie przyjmowano owacjami, w wielu wypowiedziach podkreślano potrzebę istnienia dobrze zorganizowanych, wyposażonych i fachowych służb resortowych, działających pod stałą kontrolą społeczeństwa.

Cieszę się z tego, ponieważ idąc na ul. Woronicza spodziewałem się rzeczy gorszych. Sądziłem — mea culpa — że poziom kultury politycznej uczestników spotkania będzie niższy i walka pójdzie na miecze i topory. Tymczasem poza kilkoma chamskimi wypadami (z obydwu stron), zwłaszcza pod adresem generałów Kiszczaka i Trzcińskiego, ale też senatora Romaszewskiego, całość odbywała się w polskiej normie dyskutowania.

Co przesądziło jednak o niedosycie? Wydaje mi się, że błąd prowadzącego, nie naprawiony, niestety, przez przedstawicieli resortu ani parlamentarzystów, sprowadzający się do tego, że na wstępie nie powiedziano widowni, jak dalece zaawansowane są prace nad reorganizacją resortu spraw wewnętrznych. Stąd padały postulaty zmian dawno właściwie przesądzonych (oddzielenia SB od MO, odpolitycznienia funkcjonariuszy itd., itp.).

Ten błąd zemścił się później powodując chaos, którego prowadzący dziennikarz nie umiał opanować. W rezultacie wiele osób powróciło do domu z opuchniętą ręką nie dopuszczonych do głosu, inni zaś skorzystali w nadmiarze z tego przywileju.

Inną sprawą, która zdecydowała o charakterze i wyniku dyskusji, był brak koordynacji między reprezentantami resortu spraw wewnętrznych. W rezultacie reprezentowały go 3 niezależne drużyny (MSW, KG MO, związkowcy) nie licząc nie zrzeszonych w nich funkcjonariuszy, którzy dostali się na salę.

Dało się również zauważyć wyraźną niechęć milicyjnych związkowców wobec kierownictwa resortu oraz funkcjonariuszy SB. O ile tę pierwszą mogę jakoś zrozumieć, ta druga wydaje mi się nieco irracjonalna. Niestety nieliczne uargumentowane uwagi przedstawicieli tej formacji (zwłaszcza młodych) nie znalazły siły przebicia.

Z czego to wynikało? Głównie pewnie ze zmasowania ataków na SB oraz, niestety, pasywności członków jej kierownictwa. Nie potrafili oni przekonać widowni, że SB była głównie agencją informacyjną zbierającą dla władz potrzebne im informacje tajnymi metodami. I że organ tego typu, głównie informacyjny, a nie represyjny, będzie i jest potrzebny każdemu rządowi w każdych warunkach ustrojowych.

Nie usatysfakcjonowali mnie jednak również związkowcy. Właściwie nie potrafili lub nie zdążyli wskazać kierunków zmian w milicji poza tym, że trzeba ją odpolitycznić, wydzielić i przemianować. A także — pozbawić charakteru światopoglądowego, co w Gdańsku udowodnili niedawno przed ołtarzem.

Związkowcy wystrzelili też z działa potężnego kalibru. Odrzut lufy był tak silny, że armata chyba uległa uszkodzeniu. W każdym razie tak zauważyłem w mojej, mieszanej, części widowni. Otóż odnowiciele zaproponowali powszechną weryfikację kandydatów do przyszłej formacji policyjnej. Owa, odbywająca się (pod nadzorem związków zawodowych?) weryfikacja, byłaby faktycznym przywróceniem zasad obowiązujących w pierwszych latach stalinizmu w Polsce.

Przewiduje m. in. niedopuszczanie do policji funkcjonariuszy z długim stażem, byłych SB-eków po 5 latach służby, byłych etatowych sekretarzy partii w jednostkach oraz pracowników pionu polityczno-wychowawczego.

Gdyby takie zasady weryfikacji wprowadzono w życie, to — jak przytomnie zauważył prowadzący — niewiele osób w nowej policji pozostanie. Piszący te słowa miałby pewne szanse (w SB byłem tylko półtora roku, jako sekretarz nigdy nie miałem etatu, rozpocząłem 14 rok służby) gdyby nie to, że miał nieszczęście ukończyć nauki polityczne...

Żarty na bok, lecz fakty są faktami. Wydaje się — i tę refleksję pozostawiam na koniec — że warto przypomnieć poniektórym, iż kij miewa dwa końce.

MARCEL TABOR
zdj. K. Mokrzyszewski

HONORU NIE SZARGAĆ

Fragmenty przemówienia posła z SD dr. Jana Świtki wygłoszonego w Sejmie podczas pierwszego czytania ustaw o reorganizacji resortu spraw wewnętrznych.

Każda sytuacja, każdy zawód ma grzechy i popełnia błędy, ale nie wolno mu zabrać honoru, bo to jest przecież przecięcie społecznego nerwu, powodującego paraliż życia publicznego (...).

Wadliwa organizacja życia publicznego, filozofia totalitaryzmu, doprowadziła do wypaczeń i utraty autorytetu MO i SB. Ponieśli uszczerbek na honorze nawet ci, którym nie można postawić zarzutu odnośnie ich etosu pracy zawodowej (...).

Z gruntu błędne i archaiczne jest myślenie tych, którzy nie dostrzegają, że w zawodzie tym byli i są ludzie dużego rozumu, czystego serca i prawego charakteru.

Dzisiaj, kiedy analizujemy projekty ustaw policyjnych, musimy dobrze wybrać. Prawidłowy wybór wymaga gruntownego rozeznania, trafności sądu, dobrego smaku, a także tego, aby się wznieść ponad urazy żywione do tego zawodu, który z istoty swej jest zawodem swoistego zaufania publicznego. O tym nie wolno zapominać tworząc prawo, bo to może się okrutnie zemścić. Emocje są gołoledzią dla umysłu. (...)

Ustawa żąda od funkcjonariuszy nawet narażenia życia. Pytam przeto, a co w zamian? Czy nadal tylko pogardę i krytykę? Strzały przeszywają ciało — złośliwe słowa duszę. Czy nadal ludzie ci będą w stanie zawodowo - politycznej schizofrenii, obciążeni psychicznie i moralnie, dlatego m. in., że wczoraj wykonywali polecenia rządu Pana Premiera Rakowskiego, a dzisiaj Pana Premiera Mazowieckiego, a w przyszłości kogoś innego? Rządy przychodzą i odchodzą, a milicja jako zawód zostaje. Milicja powinna być nie tyle rządowa, co narodowa. (...)

Musi podnieść się zrozumienie w narodzie, mimo wielu bóli i goryczy, czym jest służba milicyjna. Musi być szacunek dla munduru w ogóle i munduru policyjnego również — symbolu społecznego posłannictwa, symbolu służby narodowi i ponoszenia dlań ofiar, obrony jego bezpieczeństwa i współodpowiedzialności za to bezpieczeństwo. Musi zyskać prawo obywatelstwa stwierdzenie, że godność przysługuje milicjantowi również i to w sposób szczególny.

Policjant nie jest psychohigienistą, powołanym do społecznych pieszczot. To swoisty chirurg, dokonujący niekiedy koniecznego, prawem przewidzianego, zabiegu bez znieczulenia, a to przecież boli. Ma też prawo do błędu, albowiem porusza się na trudnym terenie konfliktogennych stosunków. Ma prawo do poprawy, albowiem czas zmienia poglądy, a nawet smak, w tym polityczny również. Powinien przeto być wyposażony w odpowiednie uprawnienia. Nie może być rozbrojony i ubezwłasnowolniony. Kto chce celu, musi chcieć środków do niego prowadzących.

oni do oddania pieniędzy, obrączki i dokumentów, po czym wywieźli do Jaskowic-Orzesza i przywiązali do drzewa. Około 10.30 przybyli do mieszkania Ryszarda D. przedstawiając się jako jego koledzy i zażądali 200 tys. zł. Żona oświadczyła, że sama dostarczy mężowi te pieniądze. Mężczyźni oddalili się. Rozbity samochód odnaleziono w Paniowach.

SKRADZIONA MONSTRANCJA

● 4 lutego w Otwocku ujawniono włamanie do kościoła pod wezwaniem św. Wincentego. Sprawcy po wybiciu szyby w oknie dostali się do zakrystii skąd skradli pozłacaną monstrancję wysadzaną szlachetnymi kamieniami, srebrną paterę i wota. Straty oszacowano na 100 mln zł.

PRZYGOTOWANA UCIECZKA

● 9 lutego o godz. 0.35 z aresztu DUSW Warszawa-Wola zbiegli tymczasowo aresztowani: Waldemar Siwek (lat 18) i Adam Figura (lat 17). Ustalono, że ucieczkę umożliwiły osoby z zewnątrz, które przepiłowały kraty w oknie ubikacji wychodzącym na zaplecze szkoły podstawowej.

WIELKIE ŁUPY

● 1 lutego wieczorem w Warszawie 4 zamaskowanych mężczyzn wtargnęło do willi przy ul. Zalipie, gdzie po związaniu Jolanty i Tadeusza K. zażądali wydania kosztowności. Sprawcy zrabowali złotą biżuterię i pieniądze. Łączna suma strat wynosi 100 mln zł i 4100 dolarów. Napastnicy odjechali samochodem pokrzywdzonego.

● 2 lutego w Magdalence (warszawskie) zgłoszono włamanie dokonane do willi wynajmowanej przez ambasadę USA. Suma strat wynosi 1 500 000 dolarów.

● 2 lutego wieczorem na teren klubu jeździeckiego CWKS „Legia" w Warszawie wjechał samochód „Jelcz" przystosowany do przewozu koni. Ciężarówką tą wywieziono wykradzione z boksu 3 konie wyścigowe wartości około 300 mln zł.

● 8 lutego w Częstochowie ujawniono włamanie do mieszkania Marii B. Sprawcy po otworzeniu zamków dopasowanymi kluczami skradli biżuterię i walutę obcą wartości 135 mln zł.

MILICJANCI W AKCJI

● 6 lutego po obejrzeniu programu „997" funkcjonariusze Posterunku MO w Lubawce (jeleniogórskie) ustalili, że w Myszkowicach w mieszkaniu Heleny B. przebywa poszukiwany podejrzany o zabójstwo Walter R. Udali się tam, lecz na ich widok Walter R. uciekł skradzionym uprzednio polonezem. Milicjanci ruszyli za nim. W miejscowości Stara kierowca poloneza opuścił wóz i zaczął uciekać w stronę lasu. St. sierż. sztab. Jan Przybyło strzelił ostrzegawczo. Uciekający Walter R. poddał się MO.

● 9 lutego dyżurny RUSW w Piasecznie został powiadomiony, że w Głoskowie 2 zamaskowani mężczyźni dokonali napadu na UPT. Milicjanci podjęli pościg za uciekającymi sprawcami. Ponieważ jeden z nich nie zatrzymał się po strzale ostrzegawczym, funkcjonariusz MO zranił go w nogę. Sprawcami napadu okazali się Henryk K. (zwolniony z ZK na mocy amnestii — ranny) i Sławomir S.

oprac. MAT



997

KRONIKA

pod redakcją
JANA PŁOCIENNICZAKA
i TADEUSZA NOSZCZYŃSKIEGO

Z tysięcy listów, jakie przychodzą do twórców programu „997" w OTV w Łodzi, setki zawierają prośbę o pomoc w odnalezieniu utraconych w wyniku włamań i innych przestępstw przedmiotów. Są też listy z prośbą o pomoc w odnalezieniu osób zaginionych. Nie wszystkie mogą być, niestety, wykorzystane w programie ze względu na jego ramy czasowe. Część z nich będziemy więc publikować na łamach „Magazynu Kryminalnego", mimo iż nie ukazały się w telewizyjnym programie. Oto jeden z nich.

Zwracam się z ogromną prośbą o pomoc w odnalezieniu mojego syna Krzysztofa Stręka, 19-letniego mieszkańca Koszalina, który 9 grudnia ub. r. około godziny 10.00 wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił.

Syn mój zatrudniony był w prywatnym zakładzie budowlanym. Dzień przed zaginięciem pracował ze swoją brygadą przy ul. Zwycięstwa. Wieczorem raz jeszcze udał się do zakładu, by załatwić jakąś drobną sprawę. Spotkał go tam palacz, który był już nieco wstawiony. Poprosił syna, aby kupił mu w pobliskim sklepie litr wódki. Krzysztof kupił alkohol, zaniósł palaczowi, oddał resztę pieniędzy i wrócił do domu. Sam nigdy nie pił alkoholu.

Nazajutrz, kiedy przyszedł do pracy, dowiedział się, że został posądzony o kradzież 400 tysięcy zł. Palacz nakłaniał go, aby się do tego przyznał, groził mu milicją i więzieniem. Wiedział, że już raz był niesłusznie posądzony i otrzymał dozór kuratora.

O godzinie 9.40 syn przybiegł do domu i opowiedział mi o tym zajściu. Był roztrzęsiony. Krzyczał, że żadnych pieniędzy nie wziął i nie będzie za nikogo odpowiadał, że drugi raz wrobić się nie da. Następnie wybiegł z domu mówiąc, że idzie do swojej kuratorki. Od tej chwili ślad po nim zaginął. Nie miał przy sobie ani grosza.

Gotówka, która rzekomo zginęła palaczowi, odnalazła się na drugi dzień. Palacz schował ją przed swoim towarzyszem, aby mu podczas picia nie ukradł, a następnie upił się i zapomniał o tym. Syn o odnalezieniu tych pieniędzy dotąd nie wie.

O jego zaginięciu zgłosiłam w komendzie przy ul. Zwycięstwa w Koszalinie, ale tam jakoś nie wykazano większego zainteresowania tą sprawą. Podałam adresy, gdzie można ewentualnie szukać mojego syna. Jak się później okazało, nikt z milicjantów ich nie sprawdzał. Powiedziano mi jedynie, że syn jest dorosły i może znalazł sobie dziewczynę.

Martwię się o niego, gdyż jest bardzo niesamodzielny i w dzieciństwie poważnie chorował na tle nerwowym. Nerwica pozostawiła po sobie trwały ślad.

W komendzie MO obiecano zamieścić w prasie zdjęcie mojego syna, ale ogłoszenie nie ukazało się. Kiedy zatelefonowałam z interwencją w tej sprawie odpowiedziano mi, że milicjanci mają obecnie ważniejsze sprawy. Czuję się więc bezradna. Boję się, by nie stało się coś strasznego.

Edwarda Stręk

Podajemy rysopis Krzysztofa Stręka zamieszkałego w Koszalinie przy ul. Wróblewskiego 20/3: 176 cm wzrostu, szczupły, twarz pociągła, włosy ciemnoblond, oczy ciemne. 9 grudnia ubrany był w kurtkę dżinsowo-sztruksową koloru granatowego z naszytą łatą na plecach z napisem „CONTI", spodnie z materiału w bordowo-czarne pasy. Niżej zamieszczamy jego fotografię.



A teraz przechodzimy do spraw prezentowanych już na antenie TV.



11 DNI MAŁŻEŃSTWA



Jak zwykle o godzinie 15.00 pan Mirosław Hellwig czekał na swoją żonę. Pani Danuta, z wykształcenia technik rolnik, pracowała w Rolniczym Zakładzie Doświadczalnym w folwarku Kozia należącym do Akademii Rolniczej w Poznaniu. Aby mogła dotrzeć do pracy ze wsi Kolno, gdzie zamieszkała zaraz po ślubie, jej mąż odwoził ją co rano do wsi Bielsko, a stąd zabierał ją żuk miejscowego SKR i podwoził do Gorzynia, miejscowości położonej przy międzynarodowej drodze Poznań — Szczecin. Tu wysiadała w okolicy Zajazdu „Ostęp" i około półtora kilometra szła przez las w stronę folwarku. W podobny sposób, tylko w odwrotnej kolejności, wracała do domu

Ale 13 czerwca 1984 r. pan Mirosław nie doczekał się na swoją żonę, poślubioną zaledwie 11 dni wcześniej. Zaniepokojony pojechał do folwarku, ale tam nikogo już nie zastał. Dopiero później od koleżanek Danuty dowiedział się, że jego żony tego dnia nie było w pracy.

Około godziny 19.00 coraz bardziej zdenerwowany przyjechał do rodziców Danuty mieszkających we wsi Muchocin. Ale i tutaj jej nie widziano. Sprawdził pogotowia i szpitale. Bez rezultatu. O 20.00 udał się do Komisariatu MO w Międzychodzie i tam zgłosił zaginięcie żony.

Tutejsi milicjanci od razu zorganizowali poszukiwania, do których przyłączyła się spora grupa ludności. Trwały do późnych godzin nocnych. Przerwał je deszcz. Wznowiono je następnego dnia rano, ale dopiero o 21.00 jeden z poszukujących natknął się na przysypane gałęziami i bukietem zwłoki kobiety, 22-letniej Danuty Kowasz-Hellwig. Zamordowanej skradziono pierścionek i torbę.

Jak stwierdził mąż denatki, Danuta dojechała tego dnia wraz z nim do Bielska około 6.45, a stamtąd odjechała żukiem w okolice zajazdu „Ostęp" przy drodze z Poznania do Szczecina. Dalej ślad się urywa.

Przyjęto kilka wersji zabójstwa. Jedna z nich sugeruje, że zabójcą jest ktoś ze znajomych Danuty, który nie mógł wybaczyć jej zamęścia. Na zwłokach znaleziono rozsypany bukiet kwiatów, które Danuta codziennie miała zwyczaj zabierać ze sobą z przydomowego ogródka. Lecz wersja ta nie znalazła potwierdzenia podczas czynności śledczych. Sprawdzono wszystkie osoby, głównie mężczyzn znających Danutę ze szkoły, sąsiadów i innych znajomych. Kolejna z wersji zakłada, że idącą samotnie kobietę skręcającą w leśną drogę zauważył jakiś przypadkowy mężczyzna, przebywający w zajeździe lub przejeżdżający obok drogą. A jak było naprawdę?

NAPAD NA CHŁOPCA W POCIĄGU



Od 25 września ub. r. 14-letni Paweł walczy ze śmiercią. Tego właśnie dnia znaleziono go nieprzytomnego na stacji Warszawa-Olszynka Grochowska około godziny 20.00. O 17.30 odstawiono tutaj skład pociągu elektrycznego relacji Sochaczew — Warszawa Wschodnia. Pociąg ten ostatni kurs skończył o godzinie 17.15 i kilkanaście minut później, opuszczony przez pasażerów, znalazł się na bocznicy.

Przed następnym kursem jeden z pracowników PKP przeprowadził rutynowy obchód. Na podłodze jednego z wagonów spostrzegł nieprzytomnego chłopca.

Ustalono, że jest nim 14-letni Paweł Pękalski, uczeń Szkoły Podstawowej we Włochach. Paweł do niedawna mieszkał właśnie w tej dzielnicy. Niedawno jednak jego rodzice otrzymali mieszkanie na Gocławiu. Paweł postanowił skończyć ósmą klasę w starej szkole. Toteż co dzień dojeżdżał pociągiem do Włoch z dworca Warszawa Wschodnia. Tamtego dnia zajęcia w szkole skończył o 13.30. Potem udał się na religię, ale po kilku minutach został wraz z kolegą wyrzucony przez księdza za złe zachowanie.

O godzinie 16.25 w poniedziałek 25 września ub. r. wsiadł do pociągu jadącego z Sochaczewa do Warszawy Wschodniej. Od tej pory nikt go już nie widział aż do momentu, kiedy pracownik stacji znalazł go pobitego do nieprzytomności.

40 MILIONÓW W ZŁOCIE

W czwartek 28 grudnia ub. r. zakład złotniczy przy ul. Krasickiego 14 w Dzierżoniowie otworzył jedyny jego pracownik Piotr Gulik. Właściciela zakładu, Zbigniewa Pimpickiego, dojeżdżającego tutaj z Wrocławia, tego dnia nie było w pracy. Około godziny 10.20 pojawiła się pierwsza klientka. Zaraz za nią przyszedł kolejny interesant, tym razem był to młody mężczyzna. Kiedy mieszkanka Dzierżoniowa, ustalona już przez funkcjonariuszy MO, wyszła, podał panu Gulikowi łańcuszek do zreperowania. Naprawa trwała około dwóch, trzech minut. Klient zapłacił i wyszedł.

Po chwili drzwi do zakładu znów się otworzyły i nim Piotr Gulik zdążył zorientować się, co się dzieje, rzuciło się nań dwóch zamaskowanych napastników z nożem. Bandyci po sterroryzowaniu pracownika i związaniu go skradli wyroby ze złota wartości około 40 milionów zł i 300 tysięcy w gotówce.

Jest bardzo prawdopodobne, że mężczyzna z łańcuszkiem, którego portret pamięciowy prezentujemy niżej, był jednym z bandytów. Podczas gdy złotnik naprawiał mu łańcuszek, mógł przez otwór w szybie drzwi otworzyć



znajdujący się od wewnątrz zamek w tychże drzwiach i w ten sposób przygotować napad, który miał miejsce chwilę później.

Podajemy jego rysopis: wiek około 25—30 lat, 180 cm wzrostu, szczupły, włosy jasnoblond, czesane do góry. Miał na nogach charakterystyczne buty do gry w koszykówkę białe z zielonymi i szarymi paskami. Drugi z napastników był nieco niższy i tęższy, miał ciemne włosy i wąsy. Obaj ubrani byli w kurtki dżinsowe dekatyzowane i takież spodnie.

Skradli m. in.: breloczek ze znakiem firmy Mercedes wykonany ze złota próby 0,583, w znaku firmowym oprawione są białe kamienie cyrkonie, z jednej strony brak jednego z nich, bransoletę ze złota próby 0,583 z koralem w kształcie owalnym koloru krwistoczerwonego, bransoletę ze złota próby 0,750 20-centymetrowej długości i 5-centymetrowej szerokości ważącą 70 gramów, naszyjnik ze złota próby 0,583 ze znakami probierczymi wybitymi w różnych miejscach, z kamieniami, koralami i turkusami, zegarek szwajcarski złoty z takąż bransoletką złączoną z kopertą. Ponadto wiele biżuterii będącej imitacją złota i srebra.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji w prezentowanych powyżej sprawach, proszony jest o telefoniczny lub listowny kontakt z naszą redakcją, Biurem Kryminalnym KG MO lub najbliższą jednostką milicji.

zdj. i reprodukcje
T. NOSZCZYŃSKI



2 *Kryminalne retro*

MORDERCA 5 ŻON

W kilka tygodni po śmierci piątej żony — 21 listopada 1785 r. — Rainer ożenił się po raz szósty. Kłótnie między małżonkami rozpoczęły się prawie natychmiast. Powodem były długi zaciągane przez małżonkę w karczmie. Na wymówki męża żona odpowiedziała groźbą, że go zabije. Rainer postanowił więc otruć żonę w taki sam sposób jak poprzednią. Wkrótce kobieta zaczęła skarżyć się na przejmujący ból w brzuchu i palenie, nazajutrz nie mogła już stać na nogach, a w dwa dni później 4 lipca 1786 roku zmarła.

Podejrzenia w stosunku do Rainera nabrały mocy i wahający się dotychczas sędzia nakazał dokonać sekcji zwłok. Chirurg Wegartshofer wraz z drugim lekarzem znaleźli w macicy kawałeczek papieru z trucizną. Farmaceuci stwierdzili, że był to biały arszenik i że znaleziona ilość — około 11 gramów — musiała spowodować śmierć ofiary. Zanim lekarze i farmaceuci wydali powyższe orzeczenie, Rainer sam przyznał się do popełnionych zbrodni. Nie przyznawał się jedynie przez jakiś czas do zgładzenia swej pierwszej i drugiej żony. Objawiał skruchę, spowiadał się i kajał, mówiąc, że zgrzeszył wielce, modlił się, by dane mu było na tym świecie odpokutować za grzechy.

Sędzia skazał Rainera na śmierć przez łamanie kołem oraz na dodatkowe obostrzenia: dwa szarpnięcia rozpalonymi obcęgami i wycięcie dwóch pasm skóry z pleców. Najwyższy sąd cesarsko-królewski złagodził karę śmierci na dożywotnie przykucie łańcuchem do ściany w kazamatach cytadeli w Grazu o chlebie i wodzie, na wypalenie piętna na obu policzkach, 50 kijów jednorazowo, a potem 25 co miesiąc. Biorąc pod uwagę charakter kary, należy przypuszczać, że podeszły w latach przestępca (miał wówczas 68 lat) szybko zakończył żywot.

W roku 1926 przeprowadzono analizę tej sprawy, podkreślając, że praktyka prawnicza XVIII wieku daleka była od uwzględniania motywów natury psychologicznej. Wrogość, zazdrość i skąpstwo odegrały przecież w tej sprawie tylko funkcję bodźców końcowych. Należało raczej szukać motywów w dziedzinie patologii seksualnej. Trzeba również zważyć, że Rainer działał w sposób wyrachowany. Żaden krok nie był wynikiem afektu. Żony swe usuwał w taki sposób, aby nie padło na niego podejrzenie. Unikał przy tym widoku mąk śmiertelnych swoich ofiar.

Pierwsze małżeństwo Rainera trwało 18 lat, trzecie — o ile można wywnioskować z akt sądowych — ponad 20 lat, drugie i czwarte małżeństwo poniżej roku, piąte i szóste zaś zaledwie 4 i 8 miesięcy. Nie można więc twierdzić, iż jedynym motywem jego czynów była potrzeba częstych zmian partnerki, chyba że potrzeba taka wzrastała w miarę starzenia się. W zbrodniach Rainera uderza dysproporcja między przyczyną a skutkiem. Kłótnie, sceny zazdrości itp., o których mówił w swych zeznaniach, mogły istotnie mieć miejsce, jednak nawet sam zbrodniarz nie próbował twierdzić, iż usprawiedliwiały one jego czyny. Nie ulega wątpliwości, że Rainer całkowicie zatracił umiejętność oceny moralnej swych czynów. Jeżeli żona stawała się dla niego uciążliwa, musiała po prostu umrzeć. Szczególnego znaczenia nabierają w tym świetle jego słowa: „Wszystkie moje żony umierają na tę samą chorobę". Na brak jakichkolwiek hamulców moralnych wskazuje wyjątkowo podstępny sposób dokonania wszystkich morderstw.

Istnieje jednak jeszcze jeden prawdopodobny motyw działania Rainera, mianowicie zabobon. W XVIII wieku w tej części Europy panował pogląd, że kto się dziewięć razy ożeni, będzie mógł latać jak ptak. Być może, że Rainer, który uchodził wśród okolicznej ludności za czarownika, sam był bardzo przesądny i wierzył, że w ten sposób zdobędzie umiejętności niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

I wreszcie ostatnia okoliczność zasługująca na uwagę, mianowicie sposób otrucia piątej i szóstej żony. Wprowadzenie arszeniku do organów rodnych wywołuje analogiczne objawy, jak wprowadzenie arszeniku do przewodu pokarmowego. Śluzówka organów rodnych spełniła w tym wypadku tę samą rolę, co śluzówka przewodu gastrycznego. Chirurg, który przeprowadził sekcję zwłok, otrzymał wysokie wyróżnienie za wykrycie trucizny w organach rodnych obu ofiar, a władze wykorzystały tę sprawę do zwrócenia uwagi władz sądowych i lekarzy na możliwość popełnienia zbrodni w taki sposób.

Źródło: F. Byloff: „Fünffacher Mord". Archiv für Kriminologie, 1926 r., z. 4

oprac. J. BIENIEK

policje świata

USA

WYWIAD Z SZEFEM POLICJI MIAMI — Perrym Andersonem

Miami — luksusowe domy i slumsy, feeria świateł bogatych dzielnic i odrapane mury slumsów. Sceneria ta, to codzienność dwóch sympatycznych policjantów. Dostali właśnie wiadomość o kolejnej partii narkotyków, jaka trafiła do miasta. Działają szybko i bezwzględnie. Muszą dotrzeć do szefa przestępczej organizacji, do „towaru", który nie może „pójść". Żywe tempo akcji podkreśla dynamiczna, modna muzyka. Miami lat osiemdziesiątych. Czy istnieje w nim podziemne miasto zła? Czy istnieje Miami vice?

Specjalnie dla czytelników „Magazynu Kryminalnego 997" przytaczamy błyskawiczny wywiad telefoniczny przeprowadzony z szefem policji Miami **Perrym Andersonem** przez Petera Zentai z zaprzyjaźnionej redakcji węgierskiego tygodnika „Magyar Rendör".

Perry Anderson: — Obraz miasta, jaki stworzony został przez wyświetlany od połowy lat osiemdziesiątych szlagier stacji telewizyjnych — serial „Miami vice", jest całkowicie nieprawdziwy.

Peter Zentai: — Które miejsce zajmuje to miasto w statystykach przestępczości USA?

— Miami jest wręcz spokojnym miastem, wymienianym w statystykach dopiero na 24 pozycji.

— Jednak znane jest w świecie jako stolica handlu narkotykami, jako miasto, które procederowi temu zawdzięcza swój dobrobyt.

— Miami liczy 300 tysięcy mieszkańców. Większość to ludzie stosunkowo zamożni, reprezentanci tak zwanej klasy średniej. Handel narkotykami z pewnością nie stanowi ich źródła dochodu. Prawdziwi „królowie narkotyków" nie pozostają tu długo.

— A to już z pewnością efekt także pańskiej pracy...

— Przyznam z satysfakcją, że tak.

— Czy to prawda zatem, że Miami jest jednym z największych ośrodków przemytu narkotyków?

— Trudno to stwierdzić jednoznacznie. Nie notuje się tu wzmożonej przestępczości, a procent spożycia środków odurzających jest u nas znacznie niższy niż w wielu innych miastach USA.

— A przemyt? Ilu policjantów zajmuje się rozwiązaniem tego właśnie problemu?

— Dotyczy to jednej czwartej spośród 1100 zatrudnionych w Miami policjantów, a zwłaszcza podlegającej nam, znakomicie wyposażonej służby patrolowej. Wartość wykrywanych przez nas narkotyków wynosi kilka milionów dolarów rocznie.

— Jak ocenia pan rolę najnowszej techniki w codziennej pracy?

— To sprawa o podstawowym znaczeniu. Nasza policja jest całkowicie skomputeryzowana, że wspomnę chociażby o elektronicznym badaniu odcisków palców.

— Czy „królami narkotyków" zajmuje się pan osobiście?

— Owszem. Są to niekiedy wielokrotni mordercy.

— Co powiedziałby pan o sposobie postępowania wobec nich?

— Tyle tylko, że nie ma czasu na czekanie aż przyznają się do winy. Nasze sądy dają priorytet dowodom rzeczowym, więc wcześniej już muszą znajdować się w naszych rękach. Pokrętne zeznania aresztowanych nie interesują nikogo.

— Sporo słyszy się o narkomanii nastolatków w Miami. Przyzna pan, że pozostaje ona poważnym problemem.

— Rzeczywiście, wielu nastolatków zażywa tak zwaną crack-kokainę, jaka trafia na rynek w małych dawkach. Jest ona niestety łatwo dostępna.

— Ile kosztuje jedna porcja?

— Dziesięć dolarów.

— Trudno więc pojąć, jak radzicie sobie z tym, tak trudnym zadaniem.

— Narkomania jest jednym z najważniejszych problemów społecznych USA. Rząd federalny i władze lokalne podjęły stosowne działania. Olbrzymie sumy przeznacza się na oświatę i wychowanie. Wierzę, że ten realizowany w skali całego kraju program przyniesie rezultaty.

— Wracając do policji, ile wynoszą środki finansowe, jakie dostajecie do dyspozycji?

— Jest to kwota 76 mln dolarów rocznie, z czego około jednej czwartej przeznaczamy na zwalczanie handlu narkotykami i środkami odurzającymi.

— Suma wydaje się znaczna, a jak się ona ma do środków, jakimi dysponuje policja innych miast?

— Jest to dosyć dużo.

— Skąd pochodzą te pieniądze?

— Przede wszystkim z podatków oraz budżetu państwowego i związkowego. Kwotę tę ustala się biorąc pod uwagę m.in. liczbę mieszkańców, jaka przypada na jednego policjanta. W Miami każdy z nas ma po 2,5 tysiąca „podopiecznych".

— W mieście, w którym obraca się wielkimi pieniędzmi, jest na ogół sporo okazji do nadużyć. Mam tu na myśli korupcję. Zadam więc może trochę dziwne pytanie: czy policja w Miami jest skorumpowana?

— Niegdyś tak, kilku oficerów zostało wówczas aresztowanych, rozstało się z pracą 20—30 osób.

— Wygląda na to, że rzeczywiście przestępca zawsze może zaoferować policjantowi dwa, czy trzy razy więcej, niż wynoszą jego zarobki.

— Naturalnie, jednakże sprawa ta naprawdę nie stanowi ani w Stanach, ani w Miami większego problemu.

— Na czym opiera pan to przekonanie?

— Funkcjonuje u nas sprawny system kontroli policji. Są to systematyczne, nie zapowiadane wcześniej kontrole, którymi objęci są wszyscy policjanci. Zajmuje się tym FBI. Co więcej, testy psychologiczne, jakim poddawani są wszyscy kandydaci do służby, eliminują nieodpowiednich z 90-procentową dokładnością. Wybór: wziąć łapówkę czy nie, istnieje zawsze. Proszę mi wierzyć, że nasi ludzie ten dylemat mają już za sobą i w przypadku takich propozycji odpowiadają zdecydowanym „nie".

— Macie tylu chętnych do pracy w policji, że możecie pozwolić sobie na luksus poddawania ich najprzeróżniejszym testom?

— Tak. W tym kraju, a zwłaszcza na Florydzie, szanuje się policję.

— A to dlaczego? U nas jest pod tym względem wręcz odwrotnie.

— W USA konstytucja stanowi świętość. Otacza się szacunkiem wszystko, co jest związane z nią, względnie z ochroną konstytucyjnego porządku. Stąd także autorytet policji. Oczywiście ważną rolę odgrywa także wychowanie w duchu purytanizmu, jakie odebrała większość społeczeństwa amerykańskiego, wiara w Boga i demokrację.

— Czy uogólniane są przez amerykańską prasę jednostkowe przypadki nadużywania władzy przez policjantów, jak korupcja czy stosowanie siły wobec zatrzymanego?

— Z prasą i telewizją nieraz są kłopoty. Podobnie jak policja, dziennikarze mają obowiązek występować w obronie konstytucyjnych praw. Dobrze zatem, że ujawniają takie przypadki. Jednak za fałszywe uogólnianie dziennikarz może łatwo znaleźć się w nieprzyjemnej dla siebie sytuacji, jak utrata pracy albo licencji do wykonywania zawodu. Istniejąca wolność prasy i przekonań stanowi przecież tylko część praw, do ochrony których powołana została policja. Odnosimy się więc z wzajemnym szacunkiem do swojej pracy.

— Jaka jest obecnie opinia prasy i telewizji o policji w Miami?

— W ostatnich dniach ukazało się na nasz temat wiele pozytywnych artykułów, wynikających z odnoszonych przez nas — wspomnianych już — sukcesów w zwalczaniu handlu narkotykami. Nie oznacza to jednak, że jutro nie może być inaczej. Ważne, że wszyscy — dziennikarze i opinia publiczna — są bez wątpienia po naszej stronie. Opinia publiczna, naturalnie, domaga się wyjaśnień, lecz przede wszystkim żąda, abyśmy dalej — za pomocą wszelkich dostępnych prawem środków — walczyli z przestępczością.

na podst. „Magyar Rendör", nr 47/90
oprac. ELŻBIETA WRÓBEL

Wielka Brytania

POLICJA JKMOŚCI

Cechą charakterystyczną policji Wielkiej Brytanii (o londyńskiej już pisaliśmy) jest regionalizacja wynikająca ze struktury państwa oraz tradycji. Decydujący głos w koordynacji działań i kontroli policji ma jednak sekretarz stanu (minister) do spraw wewnętrznych.

W 1987 r. siły porządkowe liczyły ogółem 145 800 policjantów (constabli), 44 000 pracowników cywilnych, 5200 inspektorów ruchu drogowego (odpowiedzialnych za kontrolę przestrzegania zakazów parkowania) oraz 50 000 (tylko w Anglii i Walii) społecznych współpracowników (działających w ramach „Sąsiedzkiej Samoobrony").

Najliczniejsza jest policja stołeczna (Metropolitan Police — MP) licząca 28 000 ludzi. Królewska Policja Ulsteru w Północnej Irlandii — 8253, policja Wielkiego Manchesteru — 6847, policja Glasgow — 6761 funkcjonariuszy.

Na terenie Wielkiej Brytanii znajduje się 41 urzędów policyjnych (w Anglii 37 i 4 w Walii), 2 posterunki w Londynie, 3 na wyspach Man, Jersey i Guernsey, 8 w Szkocji oraz 1 w Północnej Irlandii.

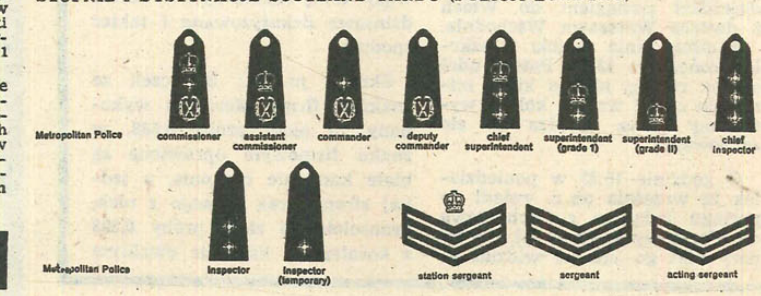
Poszczególne urzędy utrzymywane są ze środków finansowych i nadzorowane przez centra dowodzenia policyjnego znajdujące się w stolicach hrabstw; w ich skład wchodzą w 2/3 radni wybrani w lokalnych wyborach, 1/3 stanowią urzędnicy magistratu. Jedynie w Szkocji centrum dowodzenia złożone jest z władz lokalnych, a w Północnej Irlandii członkowie mianowani są przez sekretarza stanu ds. Irlandii Północnej.

Podstawowym zadaniem tego sztabu jest utrzymanie porządku na swoim terenie (w niektórych wypadkach, za zgodą sekretarza ds. wewnętrznych, szef sztabu mianuje i odwołuje szefów posterunków i zastępców, określa liczebność sił policyjnych, zapewnia dostawy sprzętu operacyjnego, odpowiada za stan techniczny użytkowanych budynków).

Na czele każdego urzędu policyjnego (Police Force — PF) stoi szef policji (Chief Constable) z wyjątkiem policji londyńskiej, którą dowodzi komisarz (Commissioner). Są oni odpowiedzialni za efektywność działania podległych służb, politykę kadrową, utrzymywanie dyscypliny. Składają raz w roku pisemny raport w centrum dowodzenia, które jest dla nich władzą dyscyplinarną.

W urzędach wyodrębnione są następujące wydziały: policji mundurowej (spełniającej funkcje prewen-

STOPNIE I DYSTYNKCJE SCOTLAND YARDU (POLICJI LONDYNU)



Francja

INTERPOL W NOWEJ SIEDZIBIE

W Lyonie odbyło się otwarcie nowej siedziby Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnej (Interpol). Dokonał tego prezydent Francji François Mitterrand w obecności 150 przedstawicieli policji ze 131 państw, z ogólnej liczby 150 krajów członkowskich tej organizacji.

W nowej centrali Interpolu zainstalowano najnowocześniejsze systemy telekomunikacji, informatyki i rejestracji. Ultranowoczesne komputery umożliwiają zgromadzenie milionów danych o międzynarodowych przestępcach, głównie handlarzach narkotykami, fałszerzach pieniędzy, handlarzach dziełami sztuki oraz ludziach z kręgów terrorystycznych. Odciski linii papilarnych, zdjęcia i inne informacje zarejestrowane w komputerach, mogą być w ciągu kilku minut, dzięki elektronice, dostępne dla biur Interpolu na całym świecie. Obecnie centrala Interpolu otrzymuje lub przekazuje swoim placówkom w krajach członkowskich około miliona zapytań i informacji rocznie.

Po oficjalnym otwarciu nowej siedziby odbyło się 58 Zgromadzenie Ogólne tej międzynarodowej organizacji policyjnej. Doroczne sprawozdania oraz kierunki działania na najbliższy okres przedstawili delegatom przewodniczący Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnej Francuz Ivan Barbot oraz sekretarz generalny Raymond Kendall, z brytyjskiego Scotland Yardu. W sprawach organizacyjnych Zgromadzenie Ogólne postanowiło przyjąć na członków: Bułgarię, Mozambik oraz Republikę Zielonego Przylądka.

RFN

OFIARA RAF-u

Do biura „Agence France Presse" w Bonn wpłynął list, w którym zachodnioniemieckie ugrupowanie terrorystyczne pod znakiem „Frakcja Czerwonej Armii" — (RAF) przyznała się do zabójstwa Alfreda Herrhausena, prezesa „Deutsche Bank", jednego z największych biznesmenów przemysłowo-finansowych RFN, który poniósł śmierć w zamachu bombowym, dokonanym 30 listopada ub.r. w pobliżu jego domu w Bad Homburg. Zginął w opancerzonej limuzynie, wysadzonej w powietrze zdalnie uruchomionym ładunkiem wybuchowym. Ciężkie rany odniosło kilku agentów z osobistej ochrony.

Po dwutygodniowych, szeroko zakrojonych poszukiwaniach zachodnioniemiecka policja aresztowała w Hamburgu trzy osoby (dwóch mężczyzn i kobietę) podejrzanych o zorganizowanie tego zamachu. Za wykrycie i ujęcie sprawców zabójstwa Alfreda Herrhausena wyznaczono 4 mln marek nagrody.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Japonia

KRAJ WSCHODZĄCEJ... PRZESTĘPCZOŚCI?



Już od roku 1980 przestępczość w Japonii zaczęła wzrastać, a w 1985 przekroczyła stan z najbardziej zagrożonego roku 1948. Jak wynika ze statystyk policyjnych w latach osiemdziesiątych znacznie rozpowszechniły się kradzieże, zmniejszył się natomiast udział przestępstw z użyciem przemocy, tzw. przestępstw intelektualnych (oszustwa i fałszerstwa, korupcja i sprzeniewierzenia) oraz przeciwko moralności (hazard, nieprzyzwoitość i zgorszenie publiczne).

Nie oznacza to jednak, że Japonia jest państwem szczególnie zagrożonym. Z międzynarodowego porównania współczynnika zabójstw i rabunków w 1984 r. wynika, że wynosił on dla zabójstw: 1,5 w Japonii, 4,5 w RFN i 7,9 w USA. W kategorii rabunków sytuacja była jeszcze korzystniejsza dla azjatyckiego cesarstwa. Współczynnik ten wyniósł bowiem dla Japonii zaledwie 1,8, gdy dla RFN 45,8, a dla Stanów Zjednoczonych aż 205,4.

Jednocześnie w Japonii stwierdzono najwyższe wskaźniki wykrywalności. W przypadku zabójstw wynosiły one w roku 1984 — 97,2 proc. (RFN — 94,1, USA — 74,1) a rabunków — 78,8 proc. (RFN — 49,8, USA — 25,8).

Z ogólnej liczby 1 607 697 przestępstw zarejestrowanych w 1985 roku wykryto sprawców 1 032 879, co stanowi 64,2 procent. Wskaźnik ten jest jeszcze wyższy dla przestępstw dokonanych z użyciem przemocy, niższy zaś (59,9 proc.) w przypadku kradzieży.

W stosunku do roku 1963 (stan krytyczny), w roku 1985 o połowę zmniejszyła się w Japonii liczba grup przestępczych. W grudniu 1985 r. liczyły one 93 514 członków zorganizowanych w 2226 bandach. Najgroźniejsze grupy gangsterskie to: Yamaguchi-gumi, Inagawa-kai i Sumiyoshi-rango-kai.

Między tymi potężnymi gangami istnieje ostra rywalizacja. Dochodzi do walk z użyciem broni palnej i skrytobójstw. W 1985 roku spowodowały one 231 ofiar, ale w tym samym czasie policja ujęła 48 213 członków gangów i odebrała bandom 1767 sztuk broni palnej.

Japończycy sądzą, że rozwojowi transportu i rozwojowi technicznemu towarzyszy powstawanie nowych rodzajów przestępstw i metod ich popełniania. Wydłuża się też czas od daty popełnienia przestępstwa do ujęcia sprawcy, zmniejsza zaś współdziałanie obywateli z organami policji.

Ta ostatnia również stosuje nowe środki. Rozszerzono np. scentralizowany system komputerowy zawierający dane o poważniejszych przestępstwach, zaplanowano wprowadzenie do powszechnego użytku systemu automatycznej kontroli daktyloskopijnej. Opracowano komputerową metodę identyfikacji wzorów odbitek palców. Umożliwia ona szybką informację, a także identyfikację fragmentarycznych nawet śladów.

Zmyślni Japończycy opracowali również system automatycznego odczytu przejeżdżających samochodów za pomocą kamery zainstalowanej na drodze i komputera ustawionego na poboczu. Pozwala to na niezwłoczne porównanie numerów jadących samochodów z tym pojazdem, który ma znaczenie dla śledztwa. W stadium opracowania znajduje się system... automatycznej identyfikacji głosu.

Policja stosuje więc coraz częściej metody naukowe, rozbudowując swój kryminalistyczny instytut badawczy. Ponadto współdziała z innymi organami w zwalczaniu coraz powszechniejszej przestępczości międzynarodowej. W roku 1985 Japończycy brali udział w wyjaśnianiu 310 spraw skierowanych do nich przez Interpol, a ponadto w 7, o których dowiedzieli się ze źródeł dyplomatycznych.

Mimo że Japończycy uważają, że w miarę postępu cywilizacyjnego zmniejszać się będzie społeczne wsparcie dla policji, nie zaniedbują kontaktów z obywatelami. Przeprowadzane są tzw. „śledztwa otwarte", do których zaprasza się środki masowego przekazu, rozlepia afisze i rozprowadza ulotki. Rezultatem „miesiąca wzmożonego poszukiwania osób ściganych listami gończymi" było ujęcie na terenie kraju 4803 osób.

W maju 1985 r. zorganizowano „miesiąc zabezpieczenia społecznego zrozumienia i współdziałania w pracach śledczych policji". Wykorzystano tę imprezę do apelowania o pomoc i współdziałanie z organami policji.

na podst. art. B. Hołysta w: „Przestępczość na świecie", tom XXII/89
oprac. MARCEL TABOR

cyjne i ochronne), policji kryminalnej, policji drogowej i sekcje specjalne (w zależności od potrzeb; policja konna, rzeczna, przewodnicy psów itp.). PF obejmuje zasięgiem jedno duże hrabstwo (w Szkocji region) lub kilka mniejszych hrabstw. Londyńska policja odpowiedzialna jest za utrzymanie spokoju w promieniu 24 km od centrum miasta, z wyłączeniem śródmieścia (City), na terenie którego istnieje odrębna jednostka policji.

Raz w roku każdy urząd (z wyjątkiem policji stołecznej) kontrolowany jest przez przedstawicieli głównego inspektora lub głównego inspektora ds. Szkocji. Wyniki kontroli przekazywane są sekretarzowi stanu, a obaj główni inspektorzy publikują je w prasie.

Wysokość poborów i warunki pracy policjantów ustalane są w wyniku konsultacji w Police Negotiating Board (PNB), odpowiedniku komisji spraw pracowniczych. W skład PNB wchodzą: niezależny przewodniczący oraz przedstawiciele wyższego szczebla z centrum dowodzenia i stowarzyszeń policjantów). Policjanci bowiem nie mogą należeć do związków zawodowych, a funkcje związkowe pełnią właśnie ich stowarzyszenia. Policjanci niższej rangi mogą należeć do Police Federation, oficerowie starsi do Association of Chief Police Officers i Superintendents 'Association.

Skargi i zażalenia na policjantów przyjmuje w Anglii i Walii istniejąca od 1985 r. Police Complaints Authority, w Szkocji prokuratorzy publiczni, w Irlandii Płn. zaś niezależna komisja ds. badania skarg na policję.

Rząd pani M. Thatcher dąży do scentralizowania pracy policji; przewiduje się zmniejszenie urzędów na terenie Anglii i Walii do 16 i po jednym w Szkocji i Irlandii Płn. Zmierza się równocześnie do przekazania uprawnień centrów dowodzenia brytyjskiemu MSW.

kirz.

Kolumbia

Po zamachu bombowym na siedzibę kolumbijskiej służby bezpieczeństwa i wywiadu, w wyniku którego 52 osoby poniosły śmierć, a 653 zostały ranne, władze tego kraju podjęły nadzwyczajne środki ostrożności. Gmachy publiczne, a szczególnie sądy, prokuratury i posterunki policji otoczono wzmocnioną ochroną. Zapewniono również dodatkową ochronę osobistą sędziom i funkcjonariuszom państwowym, powołanym do zwalczania handlarzy narkotykami. Na zdjęciu: ochrona policyjna przed gmachem sądu w Cali. Na tamtejszych sędziów kolumbijskich narkomafia wydała wyroki śmierci.



Z historii policji 2

»ANIOŁ STRÓŻ« ARMII

Obok straży i milicji obywatelskiej czy miejskiej na ziemiach polskich w czasie I wojny światowej funkcje policyjne spełniała również żandarmeria.

W składzie kadrowej kompanii Strzelców Polskich wyruszającej 6 sierpnia 1914 roku z Oleandrów istniał 15-osobowy pluton żandarmów. We wrześniu ze składu tego pododdziału wyodrębniono dwa posterunki, które pełniły rolę tajnych biur werbunkowych do Legionów na obszarze Zagłębia i Częstochowskiego.

Z chwilą powstania I Brygady, Żandarmerię Polową Wojska Polskiego przemianowano na Żandarmerię Polową Legionów Polskich. Strukturę i liczbę placówek żandarmerii towarzyszących wojskom J. Piłsudskiego wielokrotnie zmieniano w zależności od organizacji, zadań i miejsca dyslokacji oddziałów bojowych. Komenda żandarmerii posiadała rozbudowane ekspozytury zarówno w siłach własnych, jak i na terenach okupowanych oraz na obszarach monarchii austriackiej. Latem 1917 roku nastąpił podział żandarmerii na dwa ugrupowania. Jedno podlegało Polskiemu Korpusowi Posiłkowemu, drugie zaś — Polskiej Sile Zbrojnej.

Wydany w październiku 1914 r. Statut Zasadniczy wraz z instrukcją określał, iż powinnością żandarmerii jest: „ochrona sił zbrojnych polskich przed niebezpieczeństwami, na jakie narażają armię szpiegostwo, zdrada, dezercja, rozgłaszanie tajemnic wojskowych, bunt i wrogi nastrój ludności; utrzymywanie porządku publicznego na terenach walk, etapów i okupowanych lub zabranych miejscowości; dozór nad przestrzeganiem ustaw i norm wojennych; wykonywanie pewnych specjalnych zadań z dziedziny wywiadowczej, gończej, eskortowej i ordynansowej."

Uprawnienia żandarmerii dotyczyły nie tylko legionistów i żołnierzy wojsk austro-węgierskich, ale także osób cywilnych. W przypadku stwierdzenia naruszenia praw żandarmi zatrzymywali sprawców i wszczynali postępowanie karne. Żołnierzy przekazywano dowódcom oddziałów, cywilów ujętych na terenie nieprzyjaciela właściwym komendom, a w krajach własnych, sojusznikom lub zaprzyjaźnionym, najbliższym urzędom władzy cywilnej, chyba że czyn podpadał pod orzecznictwo sądów wojskowych.

Do „specjalnych czynności i obowiązków" żandarmerii należało ochranianie zdobytych miejscowości, usuwanie niepożądanych osób z rejonów walk, ściganie dezerterów, występowanie przeciwko gwałtom na ludności cywilnej ze strony wojsk i „mętów miejscowych", likwidacja wrogich wystąpień społecznych, zapobieganie okrucieństwom, zatrzymywanie handlarzy, żebraków, prostytutek oraz przeprowadzanie rewizji. W zakres jej zadań wchodziły również: werbowanie kandydatów do wywiadu, zbieranie broni i dokumentów po poległych żołnierzach, przejmowanie ważniejszej zdobyczy (archiwa, kasy, itp.) nadzorowanie grzebania zwłok oraz wypełnianie poleceń sądów polowych lub Sądu Legionów.

Przepisy przewidywały powołanie referatu śledczego, którego rolą było wykonywanie wstępnych czynności śledczych, poszukiwanie ukrywających się przestępców, inwigilacja i rozsyłanie listów gończych oraz wywiad i kontrwywiad.

Ściganiem przestępców w Legionach, poza żandarmerią, zajmowała się również powołana przez Departament Wojskowy NKN Komisja Śledcza, przy I batalionie uzupełnień, którego dowódcą był Kordian Zamorski, późniejszy komendant główny Policji Państwowej. Komórka ta, kierowana przez sierżanta dr. Henryka Libermana, łączyła funkcje organu ścigania, wymiaru sprawiedliwości i defensywy. Członkowie komisji prowadzili przesłuchania i przeszukania, stosowali aresztowania, cenzurowali korespondencję. Samodzielnie ferowali orzeczenia skazujące albo kierowali sprawę do sądu. Znamienne, że zarówno przy wykonywaniu czynności procesowych, jak i przy wymierzaniu kar nie powoływali się na przepisy prawa. Działalność komisji, istniejącej od lipca 1915 roku, wymierzona była głównie przeciwko osobom podejrzanym o sympatie prorosyjskie. Na swoim koncie zapisała ona m.in. likwidację dużych, bo liczących około 400 agentów, siatek szpiegowskich 2 Armii Rosyjskiej.

Osobnego omówienia wymaga rola żandarmerii austriackiej podczas okupowania południowej części Królestwa Polskiego. Początkowo Austriacy zaprowadzili na tym terytorium zarząd wojskowy. W marcu 1915 roku utworzono gubernatorstwo wojskowe w Piotrkowie i Kielcach, przeistoczone następnie w gubernatorstwo generalne z siedzibą w Lublinie. Do każdej komendy powiatowej dołączono kontyngent żandarmerii, składający się z 1—2 oficerów, 20—30 żandarmów zawodowych i 60—80 żandarmów polowych. Ponadto w powiatach tworzono po 10—15 posterunków w sile 4—8 ludzi, z czego trzecia część dysponowała końmi. Żandarmeria współpracująca z administracją lokalną utrzymywała porządek i bezpieczeństwo ponosząc duże straty osobowe w walce z przestępczością pospolitą. Komenda żandermerii dysponowała centralą śledczą z kartoteką daktyloskopijną i pracownią fotograficzną. Z czasem utworzono 4 inspektoraty w Kielcach, Lublinie, Radomiu i Zamościu oraz trzy oddziały lotne do zwalczania bandytyzmu. Stan osobowy uzupełniano poprzez wcielanie rezerwistów, zwykle urzędników sądowych i adwokatów. W Bielsku istniał przeznaczony dla nich ośrodek szkoleniowy, w Radomiu szkoła dla kandydatów „z cywila", w Lublinie zaś szkoła podoficerska.

Z chwilą rozpadu monarchii austriackiej wielu służących w żandarmerii Polaków podjęło zabiegi zmierzające do przekształcenia jej w formację narodową. Tym sposobem w Lublinie powstała Lubelska Żandarmeria Krajowa, a na pozostałych obszarach byłego zaboru — Polska Żandarmeria Krajowa z własnymi, odrębnymi strukturami.

Na mocy postanowień dekretu z 9 stycznia 1919 r. Lubelska Żandarmeria Krajowa wraz z milicją miejską przekształcona została w oddziały policji komunalnej podległe Naczelnej Inspekcji Policji Komunalnych. Przepis nie dotyczył żadnej innej formacji żandarmerii, które od jesieni 1918 r. spełniały ważne funkcje na wschodnich obszarach etapowych i operacyjnych wojsk polskich.

W listopadzie 1918 r., gdy rozgorzały walki o Lwów, powołano Żandarmerię Obrony Lwowa, którą po wyzwoleniu miasta, 22 listopada przekształcono w Główne Dowództwo Żandarmerii na Galicję Wschodnią. Wkrótce rozpadło się ono na dwie grupy: Żandarmerię Krajową i Żandarmerię Polową. W zachodniej części Galicji funkcjonowała nadal, jako spadek po zaborcy, Żandarmeria Krajowa Ziemi Krakowskiej. Dopiero w 1919 roku żandarmeria małopolska została przejęta przez MSW.

W Wielkopolsce, z chwilą wybuchu Powstania Wielkopolskiego, tworzono w miastach policje lokalne, natomiast dla terenów pozamiejskich zorganizowano Żandarmerię Krajową, podzieloną wkrótce na dwie brygady, osobno dla Wielkopolski i Pomorza.

Wypada również wspomnieć o formacjach związanych z polskimi siłami zbrojnymi w Rosji. W czerwcu 1917 roku w Piotrogrodzie zawiązał się Naczelny Polski Komitet Wojskowy pod prezesurą Władysława Raczkiewicza. Naczpol sformował trzy korpusy złożone z Polaków, byłych żołnierzy i oficerów armii carskiej, przeznaczone do ochrony ludności polskiej. Jednak gdy w 1918 roku Niemcy wznowili marsz w głąb terenów radzieckich, I Korpus Polski odegrał przy ich boku pomocniczą rolę militarną. 30 marca w strukturze organów sprawiedliwości korpusu utworzono funkcję prokuratora do ścigania przestępstw oraz Wojskową Straż Polową, liczącą 68 osób. Dowódca straży zobowiązany został do składania codziennych meldunków dowódcy korpusu i utrzymywał kontakt z okupacyjnymi władzami niemieckimi w Mińsku.

Początkowo wykorzystywano straż do utrzymywania dyscypliny poza koszarami oraz nadzorowania banków, hoteli, restauracji i innych lokali użyteczności publicznej. Z biegiem czasu uzyskała ona uprawnienia do ścigania niektórych kategorii przestępstw godzących w majątek wojskowy lub morale armii (przeciwdziałanie propagandzie rewolucyjnej). Instrukcje WSP kładły nacisk na zwalczanie przestępstw gospodarczych w rodzaju: okradania magazynów wojskowych, bezprawnych rekwizycji, zaboru mienia armijnego i prywatnego. Zachętę do przejmowania się obowiązkami miała stanowić 5-procentowa prowizja od wartości skonfiskowanych dóbr niewiadomego pochodzenia.

ADAM K. PODGÓRSKI

Szanowny Panie

Rozmawiał pan ze mną w więzieniu i tę całą naszą rozmowę opisał Pan zgodnie z prawdą. Uważam Pana za człowieka sprawiedliwego, bo zgadzam się z tym, co Pan o mnie napisał. Natomiast nie zgadzam się z tym, co napisała o mnie milicja. Milicja chce mnie zniszczyć z wiadomych powodów i wszystko co najgorsze zwala na mnie.

Nie uważam się za najgroźniejszego przestępcę, bo moje przestępstwa są pestką w porównaniu z tymi zbrodniami, które popełnił (...) Urban z (...) Rakowskim — zamordowali „Solidarność". Odpowiedzialni są za sto zbrodni politycznych i dlaczego nikt ich nie ściga?

Jeżeli uznali mnie za najgroźniejszego przestępcę w Polsce, to niech już tak będzie, ale proszę napisać, że ja się z tym nie zgadzam. Proszę napisać, co myślę na temat milicji i co mam na swoją obronę.

(List, który otrzymałem od Jerzego Maliszewskiego, zostanie zamieszczony pod koniec cyklu reportaży kryminalnych, w których starałem się obiektywnie przedstawić jego sylwetkę).

Jego nazwisko po raz pierwszy trafiło do kartotek milicyjnych, gdy skończył siedemnaście lat. Kiedy został uczniem technikum mechanicznego w Warszawie, nawiązał znajomość z początkującymi kryminalistami, o których już wkrótce będzie mówić cała Polska. Grupa kilku młodych ludzi, działając w Krakowie, Nowym Targu i Zakopanem dokonała licznych włamań do mieszkań prywatnych i samochodów. Po kilku miesiącach wszyscy zostali zidentyfikowani, a później zatrzymani. Rozprawa sądowa odbyła się w Zakopanem 5 sierpnia 1965 roku. Maliszewski oraz jego wspólnicy zostali skazani na cztery lata pozbawienia wolności i grzywny. Żaden ze skazanych nie odbył wymierzonego przez sąd wyroku. Wszyscy zostali zwolnieni na mocy wchodzącej wówczas w życie amnestii.

W roku 1969 Jerzy Maliszewski wstąpił w związek małżeński, a życie, które zaczął prowadzić, sugerowało, że postanowił zerwać z przeszłością.

Od listopada 1970 do marca 1973 roku na terenie Saskiej Kępy oraz innych dzielnic Warszawy zanotowano wiele poważnych włamań i kradzieży mieszkaniowych. Działania przestępcze skierowano wyłącznie na wybrane mieszkania, zajmowane przez członków akredytowanego w stolicy korpusu dyplomatycznego państw zachodnich, zagranicznych dziennikarzy oraz Polaków zajmujących się kolekcjonowaniem dzieł sztuki. Funkcjonariusze MO prowadzący w poszczególnych sprawach dochodzenia szybko zorientowali się, że za każdym razem chodzi o jedną grupę, której członkowie działają nieschematycznie. Z okradanych mieszkań zabierano jedynie przedmioty, które najłatwiej nadawały się do sprzedaży: złoto i waluty wymienialne państw zachodnich. Prócz tego ukradziono kilka antyków i nieco biżuterii. Żaden ze skradzionych przedmiotów nie trafił na bazary czy do melin, gdzie



„Człowiek numer jeden polskiego podziemia", „Ma broń i jest zdecydowany na wszystko", „Przestępca o stu twarzach", „Uciekinier, którego ściga milicja całej Polski"... Oto fragmenty z artykułów, w których opisywano postać Jerzego Maliszewskiego. Kryminalistyczna literatura fachowa uznała go za najgroźniejszego przestępcę ostatniego czterdziestolecia.

Paweł Szlachetko

KASKADER

kierowanych jest około 80 proc. tego typu łupów. Najgłośniejsze w tym okresie włamania zostały dokonane do mieszkań: przedstawiciela włoskich linii lotniczych, sekretarza ambasady angielskiej i do kilku znanych warszawskich aktorów. Wyniesiono stamtąd: unikatowy naszyjnik z pereł, zabytkowe medale, starą złotą biżuterię, którą wykonali mistrzowie jubilerscy Polski, Włoch i Francji. Wszystkie dochodzenia, które wszczęto w tych sprawach, zostały umorzone z powodu niewykrycia sprawców.

Zawarcie przez Maliszewskiego związku małżeńskiego, podjęcie pracy oraz zmiana przed laty nazwiska (poprzednio Nierobisz) spowodowały, że początkowo jego personalia zostały przez milicję pominięte. Wkrótce jednak Maliszewski znalazł się w centrum uwagi prowadzących dochodzenia, kiedy u jednego z członków gangu (przez przypadek) odkryto rzeczy pochodzące z kradzieży. Podczas przesłuchania zatrzymany wskazał członków grupy. Podczas rozprawy Jerzemu Maliszewskiemu udowodniono około dziesięciu włamań wraz z członkami gangu, któremu przewodził. Dodatkowo Maliszewski odpowiadał za kolejne 21 włamań i kradzieży, których dokonał bez wiedzy wspólników. W wyniku rozprawy, zakończonej w 1974 roku, Jerzy Maliszewski otrzymał wyrok dwunastu lat pozbawienia wolności.

Po osadzeniu w zakładzie karnym w Płocku już wkrótce zyskał sobie opinię najbardziej trudnego i agresywnego pensjonariusza. Zaledwie po kilku tygodniach odbywania kary objął nieformalnie przywództwo nad wszystkimi skazanymi, sterując drugim życiem więzienia. Od pierwszego też dnia zaczął planować ucieczkę. Cztery, kolejno podejmowane, próby zakończyły się jednak fiaskiem. W listopadzie 1979 roku podjął próbę piątą. Oto podczas jednego z apeli celowo sprowokował incydent dyscyplinarny po to, by dostać się do izolatki. W czasie poprzednich w niej wizyt opracował plan wydostania się z tego miejsca. 17 listopada wyłamał w oknie kraty i zbiegł.

Po otrzymaniu zawiadomienia z zakładu karnego Wydział Kryminalny Komendy Stołecznej MO zarządził działania poszukiwawcze na terenie całej Warszawy i jej okolic. Dopiero w dwa lata później Jerzy Maliszewski został ujęty podczas jednego z dokonywanych włamań.

Od tego czasu kierowany był do najcięższych i najlepiej strzeżonych zakładów karnych w Polsce, jako przestępca niebezpieczny w najwyższym stopniu. I tam jednak nie rezygnował z podejmowania prób wydostania się na wolność. W jakiś czas po swoim powtórnym osadzeniu z jednym ze współwięźniów zaplanował dokonanie napaści i pobicie więziennego strażnika. Efektem tego była rozprawa sądowa. Wcześniej więźniowie zdobyli nóż, którym zamierzali zaatakować przewożącego ich do sądu konwojenta. Wspólnik Maliszewskiego, który miał obezwładnić strażnika, w ostatniej chwili stchórzył i plan nie powiódł się. Od tej pory Jerzy Maliszewski postanowił polegać już tylko na sobie. Po przeniesieniu do Zakładu Karnego we Wronkach zaczął zapamiętale uczyć się języków obcych, zwłaszcza niemieckiego. Z informacji uzyskanych przez służby więzienne wynikało, że nie poniechał zamiaru podjęcia ucieczki. Tym razem jednak pobyt za murem starał się wykorzystać na opanowanie języka obcego. Po nielegalnym przerzucie przez granicę, miało mu to ułatwić rozpoczęcie życia na Zachodzie.

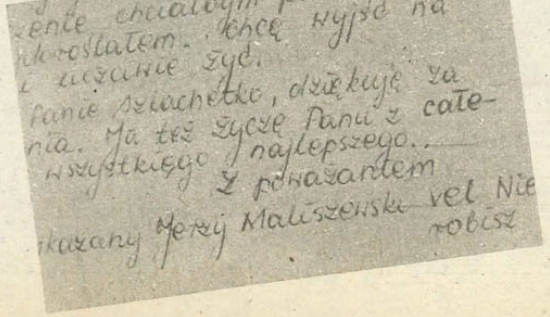
W lutym 1978 roku Maliszewski podjął kolejną próbę ucieczki. Wykorzystując nieuwagę strażników zdołał wydostać się za bramę więzienną. Jednak jego ubiór i kajdanki, którymi miał skute ręce zwróciły uwagę przechodniów. Po przebiegnięciu zaledwie 150 metrów został zatrzymany. Po kilku tygodniach okazało się, że było to jedynie preludium do starannie zaplanowanej ucieczki.

W październiku 1979 roku ulegając wielokrotnym podaniom więźnia, kierowanym do dyrekcji zakładu, oraz opinii lekarskiej został on przygotowany do przewiezienia do szpitala więziennego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

W oznaczonym dniu na więzienny dziedziniec zajechała okratowana nysa. Ku zdziwieniu dowódcy konwoju więzień ubrany był w ubranie cywilne. Funkcjonariusz próbował interweniować, jednak jeden ze strażników wytłumaczył, że o tej porze nikt nie jest w stanie odziać Maliszewskiego w strój regulaminowy. Konwojent machnął ręką, a wiedząc, że transportuje wyjątkowo niebezpiecznego przestępcę, sprawdził, czy jest on prawidłowo skuty kajdankami. Maliszewski niezbyt długo je nosił. Pozbył się ich już na pierwszym postoju, który miał miejsce w więzieniu w Środzie Wielkopolskiej. Nim konwój wyruszył w dalszą drogę (dołączono do niego następnych dwóch skazanych) więźniowie udali się do toalety. Kiedy po kilkakrotnych wezwaniach Jerzy Maliszewski wsiadł do nysy, było już tak późno, że... zapomniano założyć mu kajdanki. Następnym przystankiem było więzienie w Płocku. Tu spędzono noc. Z rana oddziałowy polecił więźniom sprzątnąć celę. Maliszewski zaoferował, że zrobi to za kolegów. Kiedy ci wyszli na korytarz, wyrwał z jednego z łóżek metalowy pręt o długości 20 cm. Przed wejściem do nysy nikt więźniów nie rewidował. Kiedy samochód dojeżdżał do miejscowości Zakroczym, Maliszewski siedział przy drzwiach wejściowych. Był otulony kurtką i miał zamknięte oczy, co mogło sugerować, że zapadł w krótką drzemkę. Jednak w tym czasie, mając osłonięte ręce, zdołał metalowym prętem wyłamać samochodowy zamek. Kiedy nysa wjechała w las, konwojent nieoczekiwanie zobaczył, że Maliszewski poderwał się na nogi, kopnął w drzwi i wyskoczył na jezdnię. Uciekinier upadł na asfalt, a zważywszy dużą prędkość samochodu musiał się dotkliwie potłuc. Poderwał się jednak szybko i wbiegł w las. Nim auto stanęło i konwojenci podjęli pościg, po zbiegu nie było już śladu.

Natychmiast powiadomiono o zdarzeniu Komendę Stołeczną MO, jak też organa więziennictwa. Na wniosek Wydziału Poszukiwań, Informacji i Rozpoznania KS MO Biuro Kryminalne KG MO rozesłało do wszystkich terenowych ogniw milicji specjalny fotokomunikat, w którym zamieszczono fotografię zbiega, charakterystykę jego osobowości i wykaz miejsc, gdzie mógł się pojawić. Podjęte poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Mijały dni, tygodnie, miesiące. Pamiętając o niedawnym hobby więźnia, którym było wkuwanie słówek i niemieckiej gramatyki, zachodziło uzasadnione podejrzenie, że Maliszewski będzie próbował przedostać się na Zachód. Stąd zaangażowano znaczne siły i środki w celu skrupulatnego kontrolowania dworców, lotnisk, jak też przeszukano kilka tysięcy melin. W ciągu wielu miesięcy nie natrafiono jednak na żaden ślad zbiega.

cdn.



ORŁY



SOKO

Udało nam się (nie bez trudu, dodajmy) odnaleźć prawdziwych mężczyzn! Może to już ostatni przedstawiciele coraz rzadszego gatunku?

Nie zachowamy tego odkrycia dla siebie, nie będziemy sobkami. Zaprezentujemy tę czwórkę wspaniałych: Wiesław Góra, Andrzej Kosiński, Piotr Molak, Zbigniew Przybyłek. Są „policjantami" z 8-, 9-letnim doświadczeniem. Nie ma dla nich przeszkód nie do pokonania, zadań zbyt trudnych, sytuacji bez wyjścia. Słowem — mężczyźni na dzisiejsze czasy wprost wymarzeni.



Gdyby wykonywali swój fach gdzieś w świecie, zwano by ich komandosami, a oddziały specjalne, do których by należeli, noszą działające na wyobraźnię nazwy — Kobra (Austria), GSG — 9 (RFN), Delta Force (USA). U nas w tych sprawach żaden decydent nie wykazuje ani odrobiny polotu, ani poczucia humoru, toteż nasze „tygrysy" są po prostu funkcjonariuszami Wydziału Zabezpieczenia SUSW.

A przecież od swych zagranicznych kolegów nie różnią się wyszkoleniem, umiejętnościami, odwagą.

Puste słowa?

Otóż nie. Dwa lata temu w Austrii zadebiutowała polska 5-osobowa reprezentacja, biorąc udział w zawodach grup antyterrorystycznych. Przyjechali najlepsi z najlepszych. Z całego świata. I w tym doborowym gronie Polacy zajęli piąte miejsce na kilkadziesiąt możliwych. Nie



HEROSY...



mieli kompleksów, nie musieli zazdrościć formy fizycznej konkurentom. Tęsknym okiem spoglądali jedynie na sprzęt i wyposażenie, no cóż, „tamci" nie jeżdżą dychawicznymi nysami.

Kiedy umawialiśmy się na wizytę, poprosiliśmy, aby dane nam było rozmawiać z najlepszymi. Usłyszeliśmy wtedy: — Tu wszyscy są i muszą być naj-, tylu, ilu ich jest. (A ilu ich jest dokładnie, to, rzecz jasna, tajemnica).

Wróćmy zatem do Andrzeja, Zbyszka, Wieśka i Piotra. Są w wieku od 28 do 34 lat, uchował się nawet jeden kawaler, który? — to zagadka dla Czytelniczek. Pozostali są mężami (na pewno przykładnymi) i ojcami. Lubią mocne i ciekawe życie, nie boją się ryzyka, znają swoje możliwości i wartości. Gdzie diabeł nie może, tam pośle... któregoś z nich.

Wedle służbowej dokumentacji są do zwalczania aktów terroryzmu, do pokonywania najgroźniejszych przestępców kryminalnych, walki z handlem i produkcją narkotyków, do obezwładniania niebezpiecznych dewiantów. Jeśli wiadomo, że przeciętny funkcjonariusz nie da sobie rady w jakiejś sytuacji, to oni muszą.

Bieg, mata, siłownia, basen — utrzymywanie idealnej kondycji to podstawa. Spadek formy u wyczynowca to gorsza lokata na zawodach, tu konsekwencje mogłyby być gorsze. To nie zabawa, to trudny, niebezpieczny fach. Urazy, kontuzje, wypadki? Bardzo nieliczne, zwłaszcza jak na takie zagrożenia. Dobre wszechstronne wyszkolenie pozwala ich uniknąć.

Niemal słyszę w tym momencie westchnienia Drogich Czytelniczek, wyobrażających sobie jak idą brzegiem morza z takim właśnie mężczyzną o popisowej sylwetce, ściągając w swoim kierunku spojrzenia pełne podziwu i zazdrości.

Ech, mieć kogoś takiego na własność...

Wiadomo przecież jak bardzo każda kobieta pragnie poczucia bezpieczeństwa. Z naszymi „tygrysami" gwarantowane. Jest i silne ramię, i odpowiedzialność.

Czy oni nie mają wad?

Muszą mieć.

A czy nigdy się nie boją?

To nie tak. Rozmawialiśmy o strachu, żaden myślący człowiek nie jest od niego wolny. Zgodnym, czterogłosowym chórem przyznali, że na przykład serce siedziało im w gardle, gdy na drugim poziomie jaskini Niedźwiedziej przeciskali się w ciemnościach przez szczeliny i tuneliki przekrojem pasujące na styk do ich obwodu. Świadomość, że są w tych piekielnych czeluściach, że są zdani każdy na siebie w warunkach niezwykłych — tak, to był ciężki sprawdzian.

Natomiast, jeżeli widzą przed sobą faceta z siekierą, to nie ma miejsca na obawy. Jest za to pełna koncentracja, błyskawiczna analiza sytuacji i działanie.

Trzeba oczywiście kilku lat, żeby dojść do perfekcji. Kiedy zgłaszają się tu w nadziei na barwną, ciekawą robotę, są na ogół bardzo młodzi. Za sobą mają lata uprawiania sportu, mniejsze lub większe (do tytułów mistrzowskich włącznie) sukcesy w boksie, judo, karate itp. Z „naszej" czwórki: Andrzej biegał, Zbyszek i Wiesiek uprawiali karate, Piotr koncentrował się na lekkoatletyce.

Na początku był sprawdzian określający co potrafią i na co ich stać. Poprzedni szef, Edward Misztal, wymagał, by kandydaci wchodzili do niego przez okno. Po linie zawieszonej na zewnątrz. Po czym witał nowicjusza słowami: „O, jesteś robaczku, trochę długo to trwało, ale nie przejmuj się, podciągniesz się."

I oczywiście podciągali się. Kto nie dawał rady, sam rezygnował. Bo tu trzeba umieć wszystko — dobrze pływać, celnie strzelać, jeździć jak rajdowiec, skakać ze spadochronem, uprawiać alpinistykę, szaleć na nartach, znać sporty obronne i techniki walki, umieć gonić i dogonić. Wszechstronność to sprawa podstawowa. Równie ważna jest umiejętność działania w grupie, tu nie ma miejsca dla indywidualistów, czempionów, którzy koniecznie muszą się pchać na pierwszy plan. Wiąże się z tym poczucie ogromnej odpowiedzialności za siebie i za kolegów, trzeba mieć przecież 100-procentową pewność, że ten drugi nigdy nie zawiedzie, gdy na szalę rzuca się zdrowie, a nawet życie. No i oczywiście, prócz siły mięśni, ogromna odporność psychiczna, bo „kto się pierwszy zdenerwuje, ten przegra".

Naprawdę tacy są.

Takimi się stają po kilku latach ciężkiej służby, gdy zyskują tę konieczną pewność siebie, wynikającą nie z bufonady, ale z wiedzy o własnych możliwościach, mają to po prostu sprawdzone i przećwiczone. Wykute na blachę.

Tak, Miłe Panie, oni są w stanie nosić swoje kobiety na rękach, nie tylko w przenośni.

Mogliby prócz tego w zaciszu domowym opowiedzieć trochę — tyle, na ile wewnętrzna cenzura pozwala — o ryzykownych akcjach oko w oko z bandziorem, o zasadzkach i pościgach. (Może i my przy innej okazji o tym opowiemy.) Na pewno też nie omieszkaliby wspomnieć, jak lubią traktować ich policjanci tylko z nazwy, a urzędnicy z ducha, w SUSW. Jak? Wedle stereotypu „silny i głupi". Denerwuje ich to, zwłaszcza że jest wśród nich około 40 procent oficerów, a więc ludzi z wyższym wykształceniem resortowym bądź cywilnym i resortowym. I dziś wielu studiuje zaocznie już w trakcie służby tu podjętej, więc nic dziwnego, że myślenie głupimi schematami drażni.

Od tych przedstawionych ze szczerą sympatią — Andrzeja, Zbyszka, Wieśka, Piotra oraz ich kolegów — przekazujemy najlepsze życzenia wszystkim Paniom.

A na koniec do Szanownych Adresatek powyższego mała prośba. Nie zacznijcie mimo wszystko po tej lekturze patrzeć na swoich własnych, domowych mężczyzn z lekceważeniem, nie wytykajcie im, że nie są tacy, jak ci z obrazka. Raczej podpowiedzcie sposoby na to, by choć trochę mogli się do ideału zbliżyć. Niech może poćwiczą przysiady przy pastowaniu podłóg, a wyprosty przy myciu okien. Niech rączo pobiegną do sklepów i dla wzmocnienia mięśni przytaszczą siaty z zakupami. Na razie tyle — początek treningów powinien być łagodny.

JOLANTA ŚLIFIERZ
zdj. Paweł Szlachetko





W milicyjnej rzeczywistości zatargi między podwładnymi a przełożonymi nie są czymś nadzwyczajnym. Codziennie setki ludzi z różnych szczebli hierarchicznej drabiny „krzyżuje szpady" w obronie przeciwstawnych poglądów na istotę służby, jej wykonawstwo i osiągane rezultaty. Wcześniej czy później sytuacja normalizuje się. Niekiedy jednak zaciekłość stron konfliktu nie dopuszcza do racjonalnego rozwiązania. Używając terminologii bokserskiej popadają one w fazę klinczu, wymagającego interwencji sędziego. W takie stadium, w Komisariacie MO w Głogówku, weszły stosunki między plut. Markiem Piotrowskim a jego bezpośrednimi zwierzchnikami.

„RYBOM WODA, LUDZIOM ZGODA"

ADAM K. PODGÓRSKI

»Jestem szykanowany, obrażany i poniżany — pisze milicjant w liście do redakcji. — Komendant nieustannie daje mi do zrozumienia, że w Głogówku jestem niepożądany. Straszy, że się pożegnam ze służbą. Co robię, jego zdaniem, robię źle. Boję się chodzić do pracy, myślę, co mnie tam spotka? Czy znowu do notatnika wpiszą mi dwóję, bo u nas wystawia się stopnie jak w szkole? Zawsze dostaję „dostatecznie" albo „niedostatecznie"«.

Plut. Piotrowski zawodowe doświadczenie zdobywał w ZOMO w Katowicach, potem we wrocławskiej szkole podoficerskiej MO i wreszcie w RUSW w Kłodzku, gdzie — jak twierdzi — panowała atmosfera wysokiej wymagalności, ale i życzliwości szefostwa wobec podopiecznych. Zadowolenie z wykonania obowiązków pozwalało zapomnieć o niewygodach użytkowania ciasnego pokoiku z kuchnią. Jednak gdy w lutym 1989 r. urodził mu się syn, a perspektywy otrzymania godziwego lokum nie wyglądały najlepiej, skuszony obietnicą przyznania M-4, przeniósł się na Opolszczyznę. Nie przewidywał, iż będzie to decyzja brzemienna w wielorakie, niestety nieprzyjemne, skutki.

— Latem 1989 r. — wspomina — podczas narady partyjno-służbowej sekretarz POP zauważył, że jako jedyny jestem bezpartyjny, a tutaj „wszyscy muszą należeć do PZPR". Zapytał czy mam zamiar wstąpić. Zdenerwowałem się. Pierwsze spotkanie, w którym uczestniczę, a oni zamiast zainteresować się jak żyję oddalony od rodziny kocząc kątem w komisariacie, jak mi się pracuje bez żadnego wyposażenia, czy nie mam kłopotów, wyjeżdżają z przynależnością do partii... Odpaliłem, że nie miałem i nie mam takiego zamiaru. Wtedy zareagował komendant: „No, to mamy jednego z opozycji" i kazał wszystko zaprotokołować. Od tej pory doznałem najróżniejszych krzywd...

— Objąłem komisariat w czerwcu — opowiada st. chor. Stefan Błaszczyński — równocześnie z przybyciem tutaj Piotrowskiego. Od pierwszych chwil nie potrafiłem znaleźć z nim wspólnego języka. Krnąbrny, dyskutujący nad poleceniami, nieposłuszny. Wiecznie w postawie „na nie". Wbrew przepisom parkował na podwórzu komisariatu swą starą syrenę. Poprosiłem grzecznie, żeby zabrał auto. Nie posłuchał. Upomniałem go kilka razy, bez skutku. Wreszcie wpisałem dyspozycję do książki wydarzeń. Uległ. Wyprowadził samochód, lecz postawił go na chodniku, naprzeciw dworca PKS, co zaraz wzbudziło nieprzychylne komentarze ludności. Na naradzie lipcowej, gdy tylko napomknięto o kandydowaniu do PZPR, wyskoczył: „Do takiej złodziejskiej partii, gdzie wszyscy kradli, nie będę należał!" Obecnym, jakby ktoś w gębę strzelił...

— O wywieraniu jakiejkolwiek presji nie mogło być mowy — twierdzi ówczesny sekretarz organizacji chor. Andrzej Kasprzak. — Dawno minęła epoka zdyskredytowanych metod. Któż byłby taki głupi, by odważać się na pogróżki? Popełniliśmy błąd, nie znając jego zapatrywań. Nie sądziliśmy, iż na otwarcie postawioną kwestię zareaguje tak obcesowo. To człowiek z ciężkim charakterem. Nie nawykł do słuchania. Kieruje się własnym zdaniem, racje innych odrzuca. Te cechy osobowości raczej nie ułatwiają mu wykonywania zawodu, w którym regułę stanowi podporządkowywanie się woli przełożonych.

— Jest skryty, zamknięty w sobie — dorzuca inspektor prewencji mł. chor. Tadeusz Kownacki. — Nie zauważyłem, żeby przyjaźnił się z którymś z milicjantów. Nigdy też nie prosił o żadną pomoc, o poradę. Niedawno w szczerych intencjach zagadnąłem go o sprawy osobiste. „Proszę się nie wtrącać" odburknął. Po rozmowie indywidualnej obraził się na cały świat i przestał rozmawiać z kimkolwiek w jednostce.

W książce kontroli służb ogólny ton notatek odnoszących się do plut. Piotrowskiego brzmi pozytywnie. W dokumentacji pracy wychowawczej zapisano dwie rozmowy ostrzegawcze. Pierwszą 28 czerwca 1989 r. z powodu nieobecności na naradzie. Zarzut nieco dziwny, gdyż Piotrowski korzystając z planowego wolnego wyjechał do Kłodzka do bliskich. Druga rozmowa, a właściwie trzygodzinny monolog komendanta, zarejestrowana 18 listopada, dotyczyła uchybień w wykonywaniu zadań służbowych. Plutonowy Piotrowski zawziął się i nie wykrztusił słowa. Tę metodę zastosował również podczas spotkania z porucznikiem Maciołem, zastępcą szefa RUSW w Prudniku.

— Cóż miałem z nimi gadać? — tłumaczył. — Zganiono mnie za brak współpracy z ORMO, co było jedną wielką lipą. Codziennie meldowano do rejonówki, że w służbie uczestniczy 5—6 ormowców. Naprawdę nie było żadnego albo przychodził samotnie pan Sarnes. Milicjanci potwierdzali tę fikcję w notatnikach. Niejednokrotnie i mnie dyżurny kazał wpisać nazwisko jakiegoś ormowca. Odmawiałem. Kiedyś komendant zaproponował, abym kupił pół litra wódki i przepił z ormowcami, by zechcieli chodzić ze mną na patrole. Inspektor zaś doradzał, bym sam sobie znalazł partnera, bo „musimy współdziałać!". Miało to polegać jak widać na łażeniu od domu do domu i kuszeniu „sojuszników" alkoholem.

W dokumentacji indywidualnych rozliczeń plutonowego Piotrowskiego, pod datą 12 lipca 1989 r. widnieje zapis komendanta: „stosunkowo słabe efekty". W protokole sporządzonym przez chorążego Kownackiego, obejmującym okres od 1 września do 17 listopada 1989 r. wyszczególniono, że milicjant ów, w ciągu 55 służb skontrolował 130 pojazdów, 1680 obiektów, 138 dozorców oraz 45 miejsc grupowania się osób pozostających w zainteresowaniu MO. Ponadto wylegitymował 240 osób (68 zwracając uwagę na niewłaściwe postępowanie), wymierzył 18 mandatów, złapał zbiega z zakładu poprawczego i przesłuchał świadka. Do służby przychodzi bez notatnika..." — napisał dalej chorąży, „zadanie wykonuje...", „nie ujawnia wykroczeń na drogach...", „nie ma informacji o przestępstwach...". I skonkludował: „...posiada lekceważący stosunek do pracy i przełożonych".

Tym negatywnym sformułowaniom przeczą jednak zestawienia statystyczne, z których wynika, iż pozostali funkcjonariusze komisariatu wcale nie zaliczają się do orłów. Otóż, po podliczeniu dorobku III kwartału 1989, plut. Piotrowski (notabene — w sierpniu korzystał z urlopu) wypadł nie najgorzej. Wylegitymował 53 osoby, co dało mu 7 miejsce w grupie 10 ocenianych milicjantów. W kategorii pouczeń, z rezultatem: 186, zajął 5 lokatę. Sporządził wystąpienie, lecz ani jednego wniosku do kolegium. (Rekordzista jednostki — aż 5). Za to bezsprzecznie najlepszy okazał się w nakładaniu grzywien. Liczba 24 mandatów zapewniła mu pozycję na czele tabeli.

— Połowę wlepiłem na siłę — przyznaje — męczony żądaniami wzmożenia represji. Lecz i tym razem komendant ocenił mnie surowo. Zbierałem ostrzeżenia: „My tu cwaniaków nie potrzebujemy". Nie pozwoliłem jednak przemienić się w maszynkę do robienia wyników. Wolę zostać przyjacielem niż wrogiem ludzi. Oni to doceniają. Czują się bezpiecznie. Uważam, że mój styl pracy przynosi więcej korzyści niż gdybym, ku zadowoleniu przełożonych, skupił się na nadymaniu wskaźników.

— Piękne słowa — replikuje chorąży Błaszczyński. — Odpowiednie do usprawiedliwienia nieróbstwa. To fakt, podczas służb Piotrowskiego nie notujemy włamań, a nawet przyczynił się on do ujęcia złodzieja z Kuźni Raciborskiej, który wybił koszem szybę w butiku i ukradł towar za pół miliona złotych. Lecz to nie widzimisię ani sadyzm każą mi przywiązywać wagę do dyscyplinowania mieszkańców, ale pogarszający się stan bezpieczeństwa. Przez pół roku plut. Piotrowski skierował do kolegium zaledwie jeden wniosek o ukaranie i wymierzył mandat jednemu kierowcy. Tymczasem liczba wypadków wzrosła w mieście o 100 procent, a kolizji o połowę. W III kwartale 1989 r. kontrolerzy rd w Prudniku zatrzymali w Głogówku 28 praw jazdy. W tym samym czasie, 14 moich zuchów, tylko 7. Mam nie traktować tego jak przejawu lenistwa? Czekać aż przełożeni dobiorą się mi do skóry?

— Głogówek, nie obrażając nikogo, to grajdołek — dodaje mł. chor. T. Kownacki. — Ludzie bacznie przyglądają się milicji i temu, co ona robi. U Piotrowskiego zaś często stwierdzam nieregulaminowy wygląd, długie włosy, jasne skarpetki. Niedbale prowadził notatnik. Pisał na przykład, że patrolował jakąś ulicę, bez sprecyzowania, co właściwie zrobił. „Bo ja oddziałuję prewencyjnie" — argumentował. Lecz mnie odwalenie formalności nie zadowala. Cenię konkrety. Cóż bowiem za pożytek z zapisu: „Kontrola palacza" i to na dodatek pod koniec miesiąca, gdy jegomość ów nie śmierdzi groszem. Dlaczego nie skontroluje go piętnastego, po wypłacie, kiedy leży nietrzeźwy?

— Łatwo wytykać cudze błędy, przemilczając swoje — odbija piłeczkę Piotrowski. — Ceduł, czyli mapek i opisów tras patroli, przez wieki nie aktualizowano. Utartym zwyczajem milicjanci potwierdzali, że regularnie odwiedzają wyszczególnione w nich kotłownie, piwnice, meliny. Wziąłem więc taki dokument do ręki i maszeruję na ulicę Zawadzkiego. Pukam do drzwi... żadnej meliny. Figurant od 5 lat bawi w RFN. Na Świerczewskiego, na Staszica, pod wskazanymi adresami mieszkają zupełnie przyzwoici ludzie i oburzają się, bo ich nachodzę.

Późną jesienią 1989 roku konflikt w Głogówku wchodzi w kluczową fazę. Jego rozwiązanie przerasta możliwości adwersarzy. Na szczęście komendant nie ulega podszeptom kadrowca, by po przeglądzie kadrowym sporządzić o plutonowym Piotrowskim ujemną opinię i przedstawić wniosek o zwolnienie go

ze służby w MO. Kieruje natomiast raport do szefa RUSW w Prudniku. Informuje go o istocie sporu i o bezowocności prób porozumienia się z wyniośle milczącym podwładnym. Proponuje, by wobec dziwnego zachowania się, będącego być może objawem depresji psychicznej, skierować go na badania lekarskie. Równocześnie z własnej inicjatywy zabiera mu broń i deponuje w szafie pancernej.

— W trosce o moje bezpieczeństwo — uśmiecha się gorzko plutonowy. — W czerwcu zamiast przydzielić mi wyposażenie, wysłano mnie w teren bez pistoletu, RMG, pałki, notatnika i mandatów. Nawet latarki nikt nie użyczył, ale wyników żądano bezustannie. Teraz znów, bezbronny krążę nocą po różnych zakamarkach i szukam łobuzów.

Mam jeszcze inny powód do rozgoryczenia. Poprzedni komendant, por. Józef Mazur, obiecał mi mieszkanie M-4. Uwierzyłem. Przez półtora miesiąca wegetowałem w pokoiku gościnnym. Raptem wręcz zmuszono mnie do przyjęcia lokalu typu M-3, mimo że żonie, nauczycielce przysługuje dodatkowa norma powierzchni mieszkaniowej. Mówiono, że to tylko przejściowo. Przeprowadziłem się pośpiesznie. W RUSW w Prudniku odmówiono mi samochodu. Pomogli dopiero dawni przełożeni... Jesienią pojawiły się widoki na przeniesienie do nowego bloku przy ulicy Skargi. Po sąsiedzku. Poszedłem do komendanta, od którego wszystko zależało, lecz usłyszałem: „A cóżeś ty zrobił dla resortu?" Mija zima. „Dałeś się wpuścić w maliny" — narzeka żona i radzi, bym rzucił służbę. Chyba ma rację. Po pięciu latach w mundurze, przestaje mi powoli zależeć na robocie. Stałem się nerwowy i wybuchowy. W październiku pojechałem do zastępcy szefa WUSW w Opolu odpowiedzialnego za sprawy wychowawcze. Posłuchał, obiecał przysłać komisję. Nie zjawił się pies z kulawą nogą.

— Piętnaście lat tutaj pracuję, ale takiego widowiska nie oglądałem — komentuje całą rzecz dyżurny komisariatu mł. chor. Zbigniew Kownacki. Zastrzega, iż nie jest krewnym Tadeusza Kownackiego i stać go na obiektywny osąd. — Komendant to człowiek prawy. Nie wymaga od nikogo cudów, lecz jasne, że jego rozkazy trzeba wykonywać. Dotąd nie było tu scysji na taką skalę. Marek niepotrzebnie dał się ponieść nerwom. Przecież w milicyjnej praktyce kontrole, rozliczenia, wytyki to normalność. Po cóż zaraz dopatrywać się w nich szykan?

Dyżurny ma rację. Problem nie wart chyba nadanego mu rozgłosu. Ani plutonowy Piotrowski nie jest tak złym funkcjonariuszem, jak wynikało z początkowych i niezbyt sprawiedliwych ocen, ani jego przełożeni tak bezwzględni w traktowaniu podwładnych. Dlaczego zatem błahe nieporozumienia przekształciły się w dramatyczne starcie, w którym przeciwnicy ranili się boleśnie? Zabrakło po prostu odrobiny obopólnej życzliwości, szczypty zrozumienia, chęci do dialogu i porozumienia. Przy bezczynności przełożonych i bezradności obserwatorów zapiekała się ich niechęć i złość.

A jednak po długich godzinach rozmów z zainteresowanymi wyjeżdżałem z Głogówka z nadzieją. Dostrzegłem bowiem w postawie niedawnych wrogów symptomy zmian, wątłe gesty świadczące o chęci pojednania.

— Nie wiedziałem o nie spełnionych obiecankach poprzednika — oświadczył chor. Błaszczyński. — Postaram się pomóc Markowi w uzyskaniu mieszkania.

— Komendant już na mnie nie krzyczy — wyjawia plut. Piotrowski, który ostrzygł się elegancko i ukrył gdzieś syrenę, kość niezgody. — Ale inspektor potrafi jeszcze wbić szpilę.

— Nie chcę być mu wrogiem — zapewnia Tadeusz Kownacki. — Mamy wolny etat dowódcy drużyny. Gdy wykaże chęć, może awansować.

Nagle w ślepym zaułku ukazała się furtka wiodąca w przyszłość bez żalów i pretensji, tam, gdzie ze zgodnego pokonywania trudności, płynie i osobista satysfakcja, i korzyść dla wszystkich.

„Rybom woda, ludziom zgoda!" — mawiał Aleksander Fredro. Warto uwierzyć znakomitemu pisarzowi, który jak wiemy z „Zemsty" potrafił pojednać nawet Rejenta z Cześnikiem.

KORYNT PO POLSKU

– Czy mój chłopak wie?–zastanawia się przez chwilę nad tym, co powiedzieć. – Oczywiście, że wie. A co tu ukrywać. Zresztą pierwszy raz to on sam mnie wysłał...



TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

Zdarty zielonkawoniebieski lakier na długich paznokciach nie robi najlepszego wrażenia. Oczy spoglądające zza grubych szkieł wcale nie są wymalowane tak jak na filmach. Ubrana jest także przeciętnie. Granatowo-biała kurtka, spódnica z materiału o niezdecydowanej barwie. Mimo lekkiego zimna spaceruje wzdłuż Wspólnej, zajrzy na Poznańską do Chałubińskiego i z powrotem. Aż ktoś podjedzie samochodem i zatrzyma się. Wtedy podejdzie, otworzy drzwi i zaproponuje przejażdżkę na parking, tu blisko za rogiem. Nie, nigdzie dalej nie chce jechać. Słyszała o koleżankach, które klient wywiózł do lasu za miasto, skorzystał z usługi, a potem pobił, okradł i wyrzucił z auta.

Najbardziej nie lubi, kiedy ktoś się targuje. Ceny obowiązują co prawda zmienne, ale trzymają się mniej więcej kursu dolara oraz zależą od popytu i podaży danego dnia. Raz jest więcej klientów, czyli „bojków" albo „niedopieszczonych", innym razem „towar" spaceruje w znacznej przewadze w stosunku do zapotrzebowania. Średnio jednak płaci się od 80 do 150 tysięcy zł w zależności od rodzaju usługi. „Laska" choć niby bardziej wyrafinowana, zawsze jest tańsza, bo mniej roboty i rozbierać się nie trzeba, co w miesiącach zimowych i wczesnowiosennych nie jest bez znaczenia.

— *Gdyby nie ja, nie mielibyśmy z czego żyć. Mój chłopak co prawda pracuje. Nie, nie wiem gdzie. Ale pensję przepił na drugi dzień. Poza tym spłaca raty za jakieś kolegium czy alimenty.*

Za co kolegium? Zdaje się, że za przetrzymywanie „panienek".

Nie, jej nie przetrzymuje. Oni są po prostu razem. Mieszkają w pokoju z kuchnią na węgiel. Tylko że na jesień zapomnieli załatwić i teraz trochę marzną. Zameldowany jest u nich jeszcze jeden chłopak. Niedawno wrócił z poprawczaka, ale zdaje się znowu go przymknęli. To jakiś tam kuzyn czy ktoś taki...

Żadna z prostytutek nie zdradzi swojego „opiekuna", choćby nie wiem co. Nawet gdyby na podstawie jej zeznań posadzili go, to jeszcze zanim by wyszedł, dopadliby ją jego koledzy. Nie zdradzi, choćby nie wiem ile odbierał jej pieniędzy i nie wiem jak źle traktował. Za kuplerstwo czy sutenerstwo dostałby rok, może więcej, ale co działoby się z nią po jego wyjściu, o tym wiadomo.

Tak samo, jak i o tym, że one wszystkie związane są ze światem przestępczym. Poczynając od tego, że są kochankami złodziei, a na popełnianych przez nie same przestępstwach kończąc. Od kieszonek począwszy, po poważne włamania. Oczywiście same w tych ostatnich nie biorą czynnego udziału. Ale idąc z klientem do domu, potrafią być bardzo spostrzegawcze. Potem zwierzą się swoim przyjaciołom, a ci już najlepiej wiedzą, jak i kiedy obrobić mieszkanie „niedopieszczonego".

Ci ostatni z reguły też skarg nie wnoszą. Co najwyżej przyjdą porozmawiać tak prywatnie z panem porucznikiem. Ale żadnych zeznań, oficjalnych zameldowań o przestępstwie nie składają.

ciąg dalszy na s. 21

KRZEPA PROFESJONALISTÓW

Bardzo często wydawało się, że sprawy są beznadziejne. Zarówno przeciętni zjadacze chleba, jak i prawnicy pokazywali, gdzie im wpierw włosy wyrosną, niż „oni" znajdą sprawców dokonanych zbrodni.

„Oni" — to funkcjonariusze milicji, a zbrodniarze, o których mowa — to sprawcy głośnych zabójstw. Na przykład zabójstwa: znanego pisarza Jana Gerharda; warszawskiej położnej z ul. Pańskiej; rodziny (pięć osób) Lipów z woj. kieleckiego; czterech chłopców z Piotrkowa; pracownicy Radio-Komitetu, której poćwiartowane zwłoki złożone do walizek znaleziono w przechowalni bagażu na Dworcu Centralnym w Warszawie; kilkunastu kobiet ze Śląska (wampir z Sosnowca) i w woj. łódzkim (wampir z Gałkówka) etc.

Funkcjonariusze służb kryminalnej i dochodzeniowo-śledczej MO uzyskując sukcesy, nie świętowali z powodu swych osiągnięć, gdyż goniły ich kolejne sprawy, na podstawie których obywatele wyrabiali sobie pogląd o skuteczności działania milicji. Wykrytego zabójcę przekazywano sądowi, natomiast akta rozpracowań operacyjnych stawały się przedmiotem drobiazgowych analiz i szkoleń. Badano stawiane na początku spraw kryminalistyczne wersje dotyczące sprawców zabójstw: czy przystawały do ujawnionych później faktów? Czy budowano je na realnych przesłankach? Czy dedukcja biegła prawidłowym torem?

Świadomie piszę „prawidłowym", nie zaś logicznym, gdyż w kryminalistyce aż się roi od paradoksów. Zbrodniarzem staje się dość często ten, kto ze względu na różne rodzaje więzów, powinien być obrońcą człowieka, którego zabija.

Do niedawna jeszcze w kategorii wykrywalności zabójstw funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej znajdowali się w ścisłej, światowej czołówce. Na wolności przebywało zaledwie kilka procent zabójców.

— Jaki czynnik sprawczy tych sukcesów wymieniłby pan na pierwszym miejscu? — pytam naczelnika Wydziału Zabójstw Biura Kryminalnego KG MO płk. Jana Tyrakowskiego.

— Każde zabójstwo wywołuje swego rodzaju społeczny wstrząs. Nikt, jak np. w przypadku kradzieży, nie mówi: całe szczęście, że stało się to u sąsiada, a nie u mnie. Przeciwnie, wiadomość o zabójstwie rodzi w umysłach ludzi poczucie osobistego zagrożenia najwyższej wartości — życia. Obywatele robią co mogą, by przyjść organom ścigania z pomocą.

Drugi podstawowy czynnik to każdorazowa, mająca miejsce natychmiast po zabójstwie lub znalezieniu zwłok ofiary zabójstwa, mobilizacja sił i środków. Nawet z chwilową szkodą dla wykrywalności innych przestępstw, co niejednokrotnie bywa przez krąg osób pokrzywdzonych, np. z tytułu kradzieży, krytykowane.

Pragnę dodać, iż w przypadku zabójstwa następuje także automobilizacja psychiczna zaangażowanych bezpośrednio w proces wykrywczy funkcjonariuszy. Od momentu ujawnienia faktu aż do wykrycia sprawcy żaden z nich nie zaznaje spokoju. To m.in. przyspieszało realizację planowanych przedsięwzięć, a w rezultacie — zapewnienie wykrywalności, która od lat przekraczała 90 proc.

— Ostatnio jednak ta statystyka została zachwiana. Z jakiego powodu?

— Dokładnie tego określić się nie da — odpowiada naczelnik. — Na pewno nie sprzyjająca atmosfera wokół milicji robi i pod tym względem swoje. Ludzie są mniej aktywni w udzielaniu nam pomocy, czego nigdy przedtem nie notowaliśmy. Ponadto doświadczeni funkcjonariusze MO po prostu odchodzą. Na ich miejsce przychodzą młodzi, którzy na razie nie są w stanie zastąpić starszych.

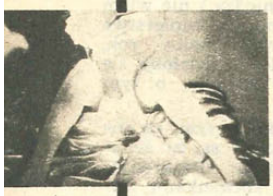
Bardzo ważną rolę odgrywa także brak podstawowego sprzętu: samochodów, magnetowidów, reflektorów do prowadzenia oględzin miejsc zabójstw, kolorowych filmów, które są tak niezbędne do utrwalenia śladów.

— Ale skoro mówimy o oględzinach zwłok i miejsc zabójstw, wystąpiły również niekorzystne zjawiska subiektywne.

— Część niedawno przyjętych do służby inspektorów techniki kryminalistycznej spłyca swoją robotę. Jeśli np. zabójstwo popełniono w mieszkaniu, dokonują oględzin tylko tego pokoju, w którym znaleziono zwłoki. A przecież morderca mógł je przenosić, poruszać się także w innych pomieszczeniach. Przyjeżdżający z ekipą dochodzeniowo-śledczą lekarze nie kwapią się do szczegółowych oględzin zwłok z obawy przed zarażeniem się wirusem HIV, zwłaszcza gdy ofiarą zabójstwa padł narkoman, homoseksualista, alkoholik lub prostytutka. To zaś opóźnia działania i nie pozwala ich prawidłowo ukierunkować.

Dla jakości pracy wykrywczej niemałe znaczenie ma także gwałtowny wzrost liczby zabójstw w wielu aglomeracjach, szczególnie takich, jak Łódź, Warszawa, Katowice, Wrocław — blisko o sto procent! Ujemnie

- **W roku 1988 zaistniało 530 zabójstw, w roku 1989 — 647.**
- **W r. 1988 wykrywalność zabójstw sięgała 90 proc., w 1989 — 84,4 proc.**
- **Na tle rabunkowym zanotowano w roku 1988 — 53 zabójstwa, w 1989 — 76 (wzrost o 43 proc.).**
- **Na tle seksualnym dokonano w 1988 roku 16 zabójstw, w 1989 — 32 (wzrost o 100 proc.).**
- **Najwyższy wzrost liczby zabójstw wystąpił w kilku wielkich miastach: Warszawie, Gdańsku, w aglomeracji śląskiej, w Łodzi oraz Wrocławiu.**
- **W Łodzi, w roku 1988 dokonano 23 zabójstw, w 1989 — 41.**
- **Najbardziej zagrożone są osoby starsze, mieszkające samotnie, uchodzące za majętne, otrzymujące w dewizach renty i emerytury.**



PAN HELMUT I DZIOUSZKI

Helmut L., obywatel RFN dość świeżej daty, gdyż zaledwie przed dziesięcioma laty pożegnał rodzinną Litwę, nigdy dotąd nie odwiedził Polski. Na wspólną wyprawę na Śląsk namówił go Zbigniew K., który wyemigrował stąd w 1981 roku. Ale słynący bogactwami Zachód nie otworzył przed przybyszami ścian sezamu. Obaj pogodzili się już ze statusem bezrobotnych i zasiłkiem — 1300 marek miesięcznie, co w opinii wielu naszych rodaków jest położeniem arcykorzystnym i godnym zazdrości.

Nie wiem, na jakim poziomie żyje się w Republice Federalnej Niemiec za powyższą kwotę, wiem jednak, jak można szpanować w Polsce, gdy przeliczy się ją po czarnorynkowym kursie na złotówki. Toteż Helmut L. z ochotą podjął myśl przyjaciela. Kawaler, czterdziestolatek, dotychczas wyprawiał się na dziewczynki do Hiszpanii. Teraz, po ognistych czarnulkach, zamarzyły mu się pulchne i jasnowłose dziouszki. Będąc zaś człowiekiem praktycznym postanowił połączyć piękne z pożytecznym, czyli odnowić w Polsce steranego golfa. Obliczył, że taniej go wyniesie podróż w obie strony i zapłacenie lakiernikowi „ekstra", niż gdyby to chciał uczynić u siebie.

Rano, 16 lutego ub. r. anonimowy rozmówca powiadomił telefonicznie dyżurnego MUSW w Świętochłowicach, że na schodach budynku przy ulicy Rzecznej leży bez ruchu zakrwawiony mężczyzna. Prawdopodobnie nie żyje. Oficer natychmiast skierował tam radiowóz. Przybyli na miejsce milicjanci spostrzegli, że istotnie rozciągnięty na posadzce człowiek ma rozbitą głowę, ale na szczęście duch z niego nie uleciał. Wezwano pogotowie. Lekarz stwierdził opilstwo rzekomego denata i oświadczył, że obrażenia są powierzchowne.

Z przywiezionym do jednostki mężczyzną, nie posiadającym żadnych dokumentów, nie sposób się było porozumieć. Zły i agresywny, wodząc mętnym wzrokiem wykrzykiwał coś po niemiecku. Z pijackiego bełkotu dały się jedynie wyłowić słowa: „Provokation! Provokation!", Rozjuszonego Niemca zawieziono zatem do izby wytrzeźwień, by nieco sobie odpoczął.

Parę godzin później zgłosił się na milicję skacowany Zbigniew K. i zameldował, że jego kumpel przepadł bez śladu. Po raz ostatni widzieli się wczoraj na dancingu. Wielka była jego radość, gdy dowiedział się, iż Helmut nie zginął, tylko po prostu trzeźwieje w przeznaczonym do tego celu przybytku. Udał się tam bez zwłoki. Zastał druha już na chodzie, tyle tylko, że uboższego o 548 marek, 90 tysięcy złotych, paszport i dokumenty pojazdu. Taki był koszt wyprawy na dziewczynki.

Nazajutrz obaj panowie ponownie zjawili się w MUSW i wyrazili chęć złożenia oficjalnego zawiadomienia o przestępstwie. Z Helmutem L. można już się było dogadać, bo przypomniał sobie, że zna język rosyjski. W bardziej skomplikowanych kwestiach Zbigniew K. służył za tłumacza. Opowiedzieli następującą historię. Przejście graniczne minęli 15 lutego. W południe witali się ze znajomymi w Świętochłowicach. Zrazu zasiedli z gospodarzem do stołu i wysuszyli trzy butelki wódki. Czując w sobie wigor i niedosyt alkoholu wyprawili się na potańcówkę do chorzowskiej restauracji „Merkury". Wkrótce przysiadły się do nich trzy damy, z najniższej kategorii miejscowych pań świadczących specyficzny rodzaj usług.

Tfuuu! — splunął pan Helmut, gdy po usilnych staraniach milicji ponownie ujrzał swoją partnerkę. I zaczął się usprawiedliwiać:

— Przy stoliku było ciemno, migały światła dyskoteki, szumiało mi w czubie. Któż by przyglądał się w takich warunkach kobiecie?

Milicjanci ze zrozumieniem pokiwali głowami. Dziewiętnastoletnią Annę D. przy najszczerszych chęciach trudno bowiem uznać za urodziwą. Panna z pięcioletnim synem, którego podrzuciła babce, jest znana w pewnych kręgach z zamiłowania z jakim oddaje się swemu zawodowi i z siły w barach jak u chłopa. Nic dziwnego, ponad sto kilo żywej wagi. Ostatnio np. niedoszłego amanta przewróciła na podłogę, okraczyła tak, że ledwie zipał i wlała mu w gardło całą flaszkę gorzały. Otumanionemu sprytnie wyłuskała z kieszeni 197 tysięcy złotych.

Powróćmy jednak do restauracji „Merkury". Widząc, że sytuacja rozwija się w odpowiednim kierunku i temple, dżentelmeni zamówili szampana dla pań, a sami wychylili po parę setek. Po czym każdy z wybranką pofrunął w swoją stronę.

Zawiany Helmut L. wylądował z powrotem w Świętochłowicach. Panna Andzia postanowiła naciągnąć go na „halbę". Nie wiadomo w jakim języku, dość, że skutecznie przekonała Niemca, że za jedyne 5 tysięcy złotych, bez trudu zdobędzie alkohol.

wpływają również zmienione przepisy kodeksu postępowania karnego. Podejrzani, prawie do końca milicyjnych działań, przebywają na wolności, gdyż prokuratorzy proszeni o zastosowanie środka tymczasowego aresztowania, chcą mieć niezbite dowody winy. A wiadomo, że znaczną liczbę takowych uzyskuje się dopiero po osadzeniu podejrzanych w areszcie.

Wzrost liczby zabójstw w 1989 roku dotyczy tych czynów popełnionych z wszystkich, bez wyjątku, motywów. Największe, bo ze wzrostem ponad 100 proc., żniwo odnotowano w kategorii zabójstw na tle seksualnym, a następnie rabunkowym, dalej — o nie ustalonych (początkowo) przyczynach. Gwałtownie zwiększyła się liczba zabójstw, których powodem były nieporozumienia towarzyskie, konflikty rodzinne, zawiść i zazdrość.

— Kim, z reguły, są najgroźniejsi zabójcy? Z jakich pobudek najczęściej działają?

— Dominują osobnicy w wieku od 18 do 35 lat — stwierdza specjalista z Wydziału Zabójstw Biura Kryminalnego KG MO, ppłk Sylwester Kończyk. — Ich pochodzenie społeczne jest bardzo zróżnicowane. To samo dotyczy wykształcenia. Wciąż mocną pozycję mają tu recydywiści, osoby bez stałego zajęcia oraz młodociani z rozbudzonymi, pod względem materialnym, ambicjami. Ci zdecydowani na „mokrą robotę" planują zbrodnie, typują ofiary, nie szczędzą starań, by zatrzeć ślady.

Lecz bywa także, że w pierwotnych założeniach mają napady rabunkowe, lecz one, już w trakcie realizacji, przeradzają się w zabójstwa. Bo np. przestępcy nie spodziewali się zastać kogoś w mieszkaniu, za mocno bili ofiary lub one udusiły się na skutek głęboko wepchniętych do ust knebli.

— Czy liczba zabójstw będzie wciąż wzrastać?

— Tak — stwierdza ppłk Sylwester Kończyk i uzasadnia swój pogląd narastającą biedą, bezrobociem i tzw. rezerwową armią zatwardziałych przestępców, gotowych na wszystko, a wywodzących się m. in. ze środowiska dotychczasowych cinkciarzy, pozbawionych pracy przez kantory. Oni znają swoich byłych dewizowych klientów, otrzymujących w markach i dolarach zagraniczne emerytury i renty.

— Najbardziej zagrożeni są renciści i emeryci mieszkający samotnie — uzupełnia naczelnik płk Jan Tyrakowski. — Ale zabiegi prewencyjne, w obecnej atmosferze społeczno-politycznej, nie odnoszą spodziewanego rezultatu. Nasze odwiedziny i próby zorientowania się co do posiadanych składników majątkowych, których znajomość ułatwiłaby znalezienie ewentualnych sprawców napadów, spotykają się często z uwagami: Co, chcecie mnie inwigilować?

Funkcjonariusze służby kryminalnej MO oraz inspirowani przez nich dzielnicowi, referenci, milicjanci z oddziałów prewencji oraz posterunkowi nie rezygnują z różnych form przedsięwzięć zabezpieczających osoby samotne przed napadami i zabójstwami. Inicjując różne rodzaje społecznej samoobrony pobudzają do czynności i aktywności sąsiadów potencjalnych ofiar, dokonują penetracji i rozpoznania środowisk i grup przestępczych.

Choć na liczbę zabójstw nie mamy i nie będziemy mieć większego wpływu, to jednak będziemy się starali odzyskać, jeszcze w tym roku, pozycję w dziedzinie wykrywalności sprawców zabójstw — stwierdza płk Jan Tyrakowski. — Czy nam się to uda? Możliwe, jeśli ustąpią przyczyny, które spowodowały, chyba tylko okresowe, zachwianie tej dobrej pozycji. Chcemy bowiem udowodnić, że aparat, który potrafi wykrywać sprawców najcięższych zbrodni, często doskonale zaplanowanych, wart jest społecznego szacunku.

EDWARD NOWAK

Była może pierwsza, może druga w nocy.

Rajdu przez znane swej towarzyszce meliny Helmut L. nie pamięta. Wie tylko, że przenosili się z domu do domu, że wciąż przybywało otaczających go twarzy. Kilkakrotnie wyciągał z portfela zielone banknoty z Chopinem. Nad ranem pijane bractwo dotarło na ul. Rzeczną. Tutaj spełniły się marzenia pana Helmuta o zaznaniu rozkoszy seksualnych. Obudził się na podłodze. Inni uczestnicy libacji spali rozmaicie gdzie popadło, a próby dobudzenia kogokolwiek okazały się bezowocne. Z trudem wdział odzienie i wymknął się za drzwi. Na parterze uderzenie w potylicę pozbawiło go przytomności...

*

— Trafiła nam się gratka nie lada — mówi z przekąsem por. Leszek Pomiętło, kierownik sekcji kryminalnej MUSW. — Dysponowaliśmy zeznaniami człowieka, nie znającego absolutnie żadnej z osób, z którymi spędził upojną noc. Krok po kroku ustaliliśmy to całe towarzystwo, zasłaniające się przed wyznaniem prawdy lukami w pamięci. Poszkodowany tymczasem pożyczył auto i pojechał do ambasady wyrabiać duplikaty dokumentów.

Wreszcie po dwóch dniach zdobyliśmy upragnioną informację. Niejaki Piotr D. chwalił się w knajpie, że nie musi już robić, bo ma pół „melona".

Piotra D. nie zastano w domu. Od matki dowiedziano się, że w szpitalu w Chorzowie pracuje jako palacz jej młodszy syn, Zygmunt. W półmroku kotłowni milicjanci ujrzeli playboya rodzimego pokroju. Koszulka, bodaj „lacosta", turecki sweter we wzorki i kurtka na kożuszku ze ścieralnego dżinsu. Krzyk bazarowej mody! Zygmunt, pijany jak bela, ładował w tym stroju koks do pieca, aż dudniło. Powiedział, że kupił te ciuchy za wypłatę.

Piotrusia odnaleziono w mieszkaniu brata. Tak samo modnie odstawionego i tak samo nietrzeźwego. W skarpetkach ukrył prawie 300 tysięcy złotych.

*

Piotr D. brał udział w balandze na Rzecznej. Przyszedł przed świtem, gdy wszyscy już byli zdrowo zalani, i dlatego nikt z przesłuchiwanych wcześniej go nie zapamiętał. Widząc faceta gadającego po niemiecku, wydedukował słusznie, że gość musi być nadziany forsą. Poczekał aż wyjdzie na schody.

*

Helmut L. ucieszony z odzyskania części pieniędzy jeszcze przez tydzień oddawał się swym ulubionym rozrywkom. Później zjawił się jednak w urzędzie, aby pożegnać się z milicjantami. Bardzo dziękował im za fachową pomoc.

ADAM K. PODGÓRSKI

ULICZNY HORROR

Szli ulicą Nowego Miasta krzycząc: „Niech żyje Łazarz!". Łazarz to jedna z dzielnic Poznania i owi głośni, pewni siebie, dobrze ubrani 15-, 18-letni młodzieńcy chcieli widać głośno zaakcentować swój patriotyzm. Czy tylko?

Z przeciwka nadeszła grupka podobnych do nich rówieśników. Ci z kolei byli mieszkańcami Nowego Miasta, czemu dali wyraz w swoich wrzaskach. Zaczęły się przekrzykiwania, dogadywanie, złośliwości aż wreszcie wyzwali się na pojedynek. Obie grupy wydelegowały po jednym „rycerzu". Ten z Nowego Miasta był mały i niepozorny, ten z Łazarza, wysoki, dobrze zbudowany. Wyglądali naprzeciwko siebie jak Dawid i Goliat. Jakież było zdumienie chłopaków z Łazarza, gdy już po paru minutach pojedynku ich Goliat padł powalony przez Dawida. Wściekli i upokorzeni wycofali się na swoje osiedle, ale nie mogli przełknąć zniewagi. Postanowili zemścić się na chłopakach z Nowego Miasta, a na niepozornym przeciwniku swojego kumpla w szczególności.

Członkowie grup znali się z widzenia, bywali na tych samych meczach piłkarskich i na dyskotekach w tym samym klubie „Akumulatory". Szybko dowiedzieli się, że ten, który powalił ich kumpla ma pseudo „Klapa", ustalili też jego adres.

Kilka dni po niesławnym pojedynku szóstka chłopców z Łazarza bawi się na dyskotece w klubie „Akumulatory". Alkohol coraz mocniej burzy ich rycerską krew, a wspomnienie zniewagi pali jak ogień. Agitują innych kolegów do wzięcia udziału w odwecie. Atmosfera robi się gorąca. W pewnej chwili discjockey pyta zebranych na sali: — Kto jedzie na Nowe Miasto odpłacić za zniewagę Łazarza? — Odpowiada mu głośne, bojowe: MY!!!

Jest ich ponad 20. Discjockey dedykuje im melodię na pożegnanie i przy gromkich okrzykach sali grupa mścicieli opuszcza dyskotekę. Idą ulicami głośni, podpici, zmuszając wszystkich do schodzenia im z drogi. Całą bandą wchodzą na klatkę schodową bloku, w którym mieszka „Klapa". Kilku lokatorów wygląda sprawdzić, co to za hałas i natychmiast chowa się z przerażeniem. Gromada podpitych, wulgarnych, głośnych wyrostków, kilku z otwartymi nożami, idzie schodami w górę, siejąc grozę. Zamierzają zdemolować mieszkanie „Klapy", a jego samego dokładnie obić. Otwiera im matka chłopca, która na ich widok jest w stanie ledwie wykrztusić z siebie: Syna nie ma w domu. — Któryś odpycha ją, sprawdza. — Rzeczywiście, nie ma „Klapy" — woła do kolegów. Zdezorientowani nie wiedzą, co robić dalej. Wycofują się z bloku. Ale ładowana w „Akumulatorach" i przez drogę energia rozpiera ich. Idą ulicą coraz bardziej wściekli. Któryś pyta mijanego chłopaka: — Znasz „Klapę"? — Nie — odpowiada tamten, za co dostaje pięścią w twarz. — Znasz „Klapę"? — pyta następnego. — Tak — pada odpowiedź. I znowu cios. Kilku błyskawicznie podchwyciło pomysł, podobał im się. Teraz pytają kolejnych przechodniów i obojętnie jaka jest odpowiedź, zapytany inkasuje cios. Rozochoceni młodzi rycerze rozgrzewają się walką. Demolują mijane kioski, wybijają szyby w sklepach, wyciągają noże. Przechodnie uciekają na drugą stronę ulicy. Horror trwa...

Około godz. 21.00 ktoś dzwoni do dyżurnego Komisariatu MO na Nowym Mieście. Z informacji dyżurny zrozumiał, że chodzi o jakąś rozróbę uliczną. Gdy przyjeżdża radiowóz, młodzieńcy są już rozproszeni. Część wsiadła wcześniej do tramwaju, reszta rozbiła się na mniejsze grupki, które poszły w różnych kierunkach. Radiowóz przejeżdża ulicą, milicjanci nie widząc nigdzie zakłócenia porządku odjeżdżają.

Godzinę później do komisariatu zgłasza się obywatel, który właśnie wraca z pogotowia ratunkowego. Wciąż jeszcze zestresowany opowiada, jaki przeżył horror. Idąc ulicą miał nieszczęście mijać bandę podpitych, wrzeszczących wyrostków, z których jeden nagle, bez żadnego powodu, dźgnął go nożem w bok. Jakiś czas później zgłasza się kolejny mężczyzna raniony nożem i opowiada identyczną historię, a potem jeszcze dwaj inni. Wszyscy zostali ugodzeni nożem, na szczęście niegroźnie, bo z marszu i przez ubranie.

Milicja udaje się ponownie na Nowe Miasto, ale po niedawnych agresorach ani śladu. Efektem ich bytności są 3 rozbite kioski, kilkanaście wybitych szyb sklepowych, 4 osoby ranione nożem. Z prowadzonych przez następne dni ustaleń wyniknie, że także kilkanaście osób mniej lub słabiej uderzonych za to, że znały albo że nie znały „Klapy".

Inspektorzy z wydziału kryminalnego ustalają skład grupy mścicieli, mimo trudności, jakie czyniło kierownictwo klubu „Akumulatory" nie chcąc wpuścić funkcjonariuszy do środka, „bo to klub tylko dla studentów, a nie dla milicjantów..."

Trwa trudne postępowanie dowodowe, żmudne ustalanie tego, co kto robił, jaki był udział poszczególnych członków grupy w poszczególnych przestępstwach i wykroczeniach.

Gdy rozbita na drobne elementy dowodowe, na pojedyncze działania osób, sprawa trafi do sądu, z horroru, jaki przeżyli tamtego wieczoru przechodnie na Nowym Mieście zostanie pewnie tylko garść drobnych przestępstw i wykroczeń...

ELŻBIETA SITEK



W piątkowy dzień, 29 grudnia ub. roku warszawiacy żyli już sylwestrowymi szaleństwami. Por. Wojciech Łabędź, dowódca I Kompanii w Batalionie Patrolowo - Interwencyjnym SUSW tego dnia pełnił służbę oficera kontrolnego batalionu. Czynny spadochroniarz (ponad 700 skoków), były milicjant z „brygad tygrysa" (po ciężkim wypadku doszedł do dawnej formy), jak zwykle pełnił służbę w radiowozie pomagając swoim podwładnym w trudniejszych interwencjach. Około godziny 13.30 dyżurny stanowiska dowodzenia przekazał w eter: W ambasadzie RFN jest uzbrojony terrorysta. Porucznik natychmiast odpowiedział mu:

— Biorę tę sprawę. Poinformuję cię po załatwieniu.

Dyżurny znał go, wiedział, że nie musi podrywać komandosów z Wydziału Zabezpieczenia SUSW. Świetnemu kierowcy por. Łabędziowi jazda z Woli na Saską Kępę nie zajęła więcej niż 5 minut. Na miejscu błyskawicznie zorientował się w sytuacji. W części ambasady przeznaczonej do przyjęć interesantów znajdował się osobnik, który szantażując personel bronią palną i strasząc wysadzeniem w powietrze ambasady (rękę cały czas trzymał w torbie), żądał uwolnienia Mathiasa Rusta (tego, który wsławił się lądowaniem samolotem sportowym na Placu Czerwonym w Moskwie, a ostatnio przebywa w więzieniu w RFN za okaleczenie pielęgniarki). Znaczna część personelu ambasady zdołała się ewakuować, a terrorysta pozostawał w pomieszczeniu, które było odgrodzone od pozostałych drzwiami pancernymi.

POGOTOWIE MILICJI...



proszę czekać

Porucznik przez szybę zapytał go, czy może wejść, żeby porozmawiać. Terrorysta zgodził się. Por. Łabędź zwrócił się do niego mniej więcej w ten sposób:

— Stary, jeżeli nasza rozmowa ma się kleić, to nie wymachuj mi tą pukawką przed nosem. Masz przecież jeszcze ładunek wybuchowy.

O dziwo, terrorysta oddał mu sprawny samopał. Usiedli przy

stoliku, rozpoczęli jak gdyby nigdy nic pogawędkę. z tym że terrorysta cały czas rękę trzymał w torbie. Porucznik poprosił przez telefon (bo wszyscy zdążyli się wycofać) o kawę. Wypili tylko po połowie, bo podającej tak się ręce trzęsły, że większość rozlała. 40-letni mężczyzna powiedział, że jest z zawodu technikiem - chemikiem, więc wykonać dla niego materiał wybuchowy to małe piwo i okazał się świetnym znawcą broni. Dyskutowali chyba z półtorej godziny o Starym i Nowym Testamencie, o rodzinie. Politykę porucznik omijał, bo jego rozmówca od razu się podniecał. I gdy już przeszli na ty, porucznik Łabędź zapytał go wprost:

— Stary, chcesz mnie zabić?

— Nie, skąd! — zapewnił tamten.

— Więc jeżeli nie oddasz mi torby, to zginiemy tylko my dwaj.

Terrorysta po chwili wahania oddał torbę milicjantowi mówiąc:

— Cieszę się, że cię poznałem, ale przy swoim obstaję.

I tak skończyła się ta interwencja.

Potwierdza ona teorię, że Batalion Patrolowo - Interwencyjny SUSW jest najtańszą jednostką w milicji. Interwencję załatwił jeden człowiek, a w podobnym wypadku komandosi z Wydziału Zabezpieczenia SUSW przeprowadziliby całą akcję.

Porucznik (od 8 lat) Wojciech Łabędź został przewodniczącym Grupy Założycielskiej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO w SUSW. Kolega z tej samej jednostki kpt. Jan Strzeliński, dowódca IV Kompanii, jest członkiem Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Funkcjonariuszy MO z siedzibą w Gdańsku. Obaj oficerowie znają problemy batalionu, w którym jak w krzywym zwierciadle odbijają się kłopoty wszystkich funkcjonariuszy, nie tylko SUSW, ale i Polski, i mówią o nich głośno, mając teraz możliwość dotarcia do możnych tego padołu. Inna sprawa, że trzymając się dawnej typologii można by ten batalion określić mianem czerwonego — bo zawsze był rewolucyjny. To właśnie w Batalionie Pogotowia MO w 1981 roku powstał Związek Zawodowy Funkcjonariuszy MO. Efekt był taki, że batalion rozwiązano, a utworzono kompanie patrolowe przy urzędach dzielnicowych. Spadła dyspozycyjność radiowozów (możliwość przerzucania w miejsca i dzielnice najbardziej zagrożone).

Trzy lata temu ponownie batalion utworzono. Jednak przez dwa i pół roku funkcjonariusze pełniący służbę w tej jednostce byli tu oddelegowani z dzielnic. Nikt przez te dwa i pół roku nie mógł zatwierdzić struktury organizacyjnej batalionu. Ta tymczasowość i prowizorka pokutuje do dziś. Etatów mają 250, tymczasem do służby zawodowych funkcjonariuszy jest niespełna 80. To oni są kierowcami, muszą podejmować decyzje na miejscu zdarzenia, udzielać porad prawnych, godzić zwaśnione strony, mając do pomocy młodego funkcjonariusza SOP, którym często też trzeba się opiekować. I jeżeli ta osiemdziesiątka obsłużyła w ubiegłym roku 99 394 interwencje, dostarczyła do izby wytrzeźwień 8,5 tys. pijaków, zatrzymała 242 poszukiwanych, 213 sprawców rozbojów, 1200 włamywaczy i złodziei — nie dziw, że po wykręceniu numeru 997 w stolicy słyszymy: — „Pogotowie milicji. Proszę czekać" i to powtarzane przez — ileś minut. Najgorsze, że bandyci nie chcą czekać.

Batalionowi przydzielono siedzibę przy ulicy Okrzei, bo ich dawną, przy ulicy Stalingradzkiej, zajęła stacja obsługi. Najciekawszy jest współczynnik powierzchni biurowej na jednego funkcjonariusza batalionu, który skrupulatnie wyliczył kapitan Jan Strzeliński. Wynosi on... 0,15 metra kwadratowego. Na pytanie o pomieszczenia socjalne, milicjanci z batalionu znacząco pukają się w czoło. W ich szatni nie ma myszy, bo już by się nie zmieściły. Po służbie zanieczyszczeni przez pijaków, ochlapani podczas uśmierzania awantur domowych, mogą obmyć ręce w jednej tylko umywalce. Nasi przewodnicy pokazują pomieszczenie biurowe o powierzchni 9 m², w którym pracują trzy osoby. Jest tu też kartoteka, magazyn środków chemicznych, części samochodowych. Komentarz zbyteczny.

Pojazdy jednostki garażowane są pod chmurką z tyłu pomnika Kościuszkowca. Sprzęt wartości ponad 2 miliardów zł już trzy lata niszczeje na słońcu i deszczu. Uruchamianie samochodów zimą wprawia niektórych obserwatorów w bezgraniczne zdumienie. W polonezach najlepiej sprawdza się batalionowy sposób, tj. popychanie zderzakiem o zderzak. Na ich bazie (w cudzysłowiu) nie ma nawet kanału czy podnośnika i kierowcy z każdym drobiazgiem muszą jeździć do stacji obsługi, tracąc czas i nerwy. Nie ma tu zwykłego węża z wodą, w stacjach obsługi, aby obmyć pojazd, trzeba zapisywać się w kolejkę, więc myją w mleczarniach, izbie wytrzeźwień na Kolskiej i gdzie się da. Prowizorka, prowizorka i jeszcze raz prowizorka. Ale jak długo jeszcze może to trwać? Tracą na tym wszyscy uczciwi, a zyskują przestępcy.

Chociaż pojawia się osławione światło w tunelu. Na styczniowym spotkaniu z szefem Służby Zabezpieczenia Materiałowego MSW gen. bryg. Stanisławem Koniecznym przedstawili propozycję przejęcia przez batalion obiektów przy ulicy Belwederskiej. Generał obiecał pomoc w załatwieniu tej sprawy.

Nie wiadomo natomiast, kto ma rozpatrzyć postulat o ubezpieczeniu (PZU) milicjantów podczas wykonywania czynności służbowych. Kpt. Jan Strzeliński, z wykształcenia górnik, twierdzi, że milicjanci są bardziej narażeni na wypadki w pracy niż górnicy. Podczas uśmierzania awantur ulicznych, które miały miejsce w grudniu i styczniu, rannych zostało kilkudziesięciu milicjantów. I co? Nic. Dostali uścisk dłoni szefa.

To samo dotyczy ubioru milicjanta do służby. Na przykład raportówka jest już przeżytkiem. Wszystkie atrybuty „władzy" milicjant powinien mieć na pasie.

O tych i innych niedoskonałościach technicznych i formalno-prawnych mogliśmy się przekonać obserwując służbę, którą pełnił porucznik Łabędź w nocy z czwartku na piątek (25 na 26 stycznia). Gdzieś około godziny 2 w nocy operator ze stanowiska dowodzenia podał informację, że w kiosku przy ul. Grójeckiej znajduje się włamywacz. Z prawie nowego poloneza por. Łabędź nie mógł wycisnąć więcej jak setkę. Byliśmy tam po 10 minutach i całe szczęście, że emeryci zablokowali włamywacza w środku. I tu kolejny postulat związkowców: Czy nie lepiej zamiast dwóch rzęchowatych polonezów (dla milicji FSO przekazuje egzemplarze odrzucone przez kontrolę techniczną) kupić jeden dobry wóz zachodni? Pojeździ dłużej i można by stawić czoła bandytom w pościgu.

Podczas nocy spędzonej w służbie z por. Łabędziem uczestniczyliśmy w ujęciu dwóch grup włamywaczy samochodowych, przy nas „przyskrzyniono" sześciu innych złodziei. Coś się odmieniło. Społeczeństwo chce pomagać milicji. Na przykład podczas tej służby trzy osoby w różnych sprawach podały swoje dane i chcą występować jako świadkowie, którzy rozpoznali włamywaczy.

Ale milicjanci z BPI, z braku stosownych uregulowań prawnych, nadal działają po partyzancku. Byliśmy świadkami, jak starszy sierżant oddał cztery strzały do uciekającego włamywacza do samochodu przy ul. Marymonckiej. Włamywacz padł. Byliśmy przekonani, że sierżant go zabił (tak postępują w podobnych sytuacjach chłopaki z „Miami Vice"). Okazało się, że sierżant kupuje po 5 tysięcy za sztukę naboje gazowe na Skrze, które pasują do P-64. Przestępca został obezwładniony i zatrzymany, ale czy sierżant ma do tego dokładać z własnej kieszeni? W resorcie dużo się mówi o komputerach, nowych środkach technicznych. Czas już, żeby je zobaczyli, poznali, i korzystali z nich zwykli milicjanci. Między innymi ci z batalionu patrolowo-interwencyjnego.





ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

Kryptonim „METROPOL" 5

NAJMRODZKI STORY

WIESŁAW PIETRYKA

Czas przedstawić, choć pokrótce, pozostałych członków samochodowego gangu. Proponuję zacząć od 57-letniej Sabiny Najmrodzkiej, matki Zdzisława Najmrodzkiego — szefa tej grupy przestępczej, należy jej się chyba ten zaszczyt z tytułu płci, wieku i powiązań rodzinnych.

Mamuśka to temat na powieść epicką. Kochająca swego synala do szaleństwa, jak wilczyca młodc, jest dlań gotowa na każde szaleństwo. Pisałem w poprzednich odcinkach, że Zdzichu, zwany przez kolegów — „Saszłyk", z zasady nikomu nie wierzył, nawet członkom gangu, nawet narzeczonej. Dodałem, że z wyjątkiem mamuśki. Ona znała wszystkie jego plany i zamierzenia, dzielnie mu we wszystkim sekundując i pomagając, tylko ona, poza Zdzichem oczywiście, wie, gdzie synek zadołował dolary i złoto. Wie, ale choćby kije i żaby z nieba leciały, nie powie tego nawet na świętej spowiedzi ani prokuratorowi.

Prosta, prymitywna, ale sprytna i przebiegła nad wyraz. Załatwiała wszelkie organizacyjne sprawy gangu, sprzedawała towar, nawiązywała kontakty, zamawiała tablice rejestracyjne do polonezów oraz kluczyki. Ba, uczestniczyła osobiście w dokonywaniu przestępstw. M. in. w kradzieży służbowego poloneza 2000 pewnego wiceministra; ponieważ Zdzichu nie mógł wozu w żaden sposób uruchomić, więc wziął go na hol, a mamuśkę posadził za kierownicą ministerialnego pojazdu. Mamuśka prowadziła wówczas samochód bodaj pierwszy raz w swoim życiu, ale dojechała. Ta mamuśka, kiedy „Saszłyk" siedział w pudle, pilnowała cnoty jego byłej żony, o każdym jej kroku dokładnie informując syna. To ona była łącznikiem między nim a narzeczoną.

Uczestniczyła również w sprzedaży skradzionych polonezów. Kiedy Zdzichu się dowiedział, że sprawę o dokonywane przez niego i kolesiów przestępstwa prowadzi ppor. Bogusław Lachowski, mamuśka pierwsza wpadła na pomysł, aby skraść mu w odwecie małego fiacika, ustaliła też osobiście jego numer rejestracyjny. Pech zrządził, że nie zdążyli.

Gdy dowiedziała się z dziennika TV o zatrzymaniu syna, z podziwu godną przytomnością umysłu natychmiast organizuje przerzut trefnych towarów w nikomu nie znane miejsca i jest jego główną wykonawczynią. Po aresztowaniach następnych członków gangu czyni podobnie, a ponadto likwiduje wynajmowane przez nich mieszkania i załatwia nowe. Jednego tylko nie mogła darować spikerowi telewizyjnemu — jak powiedziała ppor. Lachowskiemu — a to, że nazwał jej syna niebezpiecznym bandytą. Takiego dobrego, porządnego chłopca.

Po zatrzymaniu Zdzicha udaje się nazajutrz rano do Daniela Lisowskiego i namawia go do odbicia synka z aresztu, obiecując dostarczyć na żądanie... świec dymnych i broni automatycznej! Obecnie (1985 r.) Sabina Najmrodzka przebywa na obserwacji w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, gdzie konsekwentnie udaje idiotkę, co jej nie przeszkadza jednakże w redagowaniu i wysyłaniu całkiem rozsądnych grypsów do ukochanego syna.

Daniel Lisowski, lat 35, w ciągu 8 lat przebywania w więzieniu za kradzież 60 polskich fiatów 125p, nie stracił sentymentu do motoryzacji w ogóle i pod każdym innym względem. Zaraz po wyjściu z zakładu penitencjarnego stał się ofiarnym członkiem i podporą polonezowego gangu. Sam jeździł starym mercedesem z 1968 roku, ale wóz chodził jak zegarek, jeśli bowiem cokolwiek tylko w nim się zepsuło, okradał z potrzebnej części najbliższy wóz podobnej marki i montował u siebie. Często gęsto, bywało, okradał mercedesy znajomych i sąsiadów, a jeśli na ten przykład uznał, iż jakaś część jest niepotrzebna, odsprzedawał ją za gruby pieniądz okradzionemu, współczując mu przy tej okazji, że też go to spotkało akurat.

Nie gardził żadną zdobyczą, a pieniążki lubił. No i nie miał żadnych skrupułów. Również wobec szefa gangu. Tu kolejna ciekawostka. Brał udział w kradzieży BMW, należącego do pewnej firmy polonijnej, którym to wozem jeździł następnie Najmrodzki. Ale nie przyznał się szefowi ani kompanom, że w bagażniku skradzionego samochodu znalazł teczkę, w której było 6 milionów złotych i 6 tysięcy dolarów. W przeciwieństwie do Najmrodzkiego nie dołował szmalu, ale wydawał pełnymi garściami na lewo i prawo. Głównie na orgietki i różowe baleciki z panienkami, bo w ogóle to kochał się bawić. A panienki im były młodsze, tym lepiej. Takie tylko lubił. I to hurtem, po kilka naraz. To ppor. Lachowski wie bardzo dokładnie, bo Lisowski nader chętnie i często o tym mówi, jak każdy erotoman.

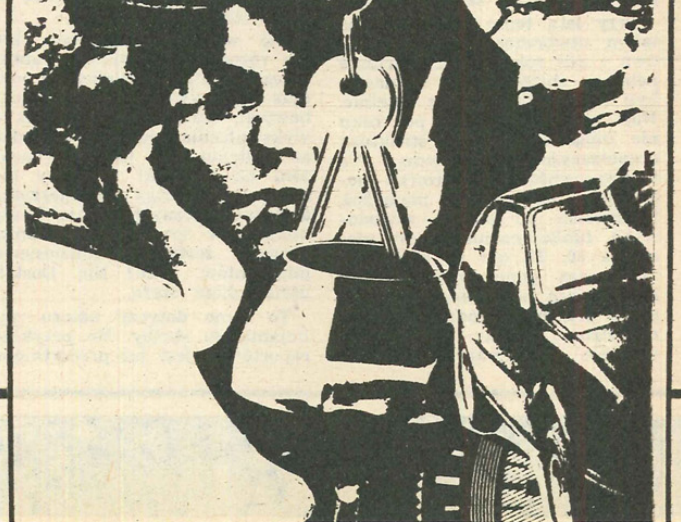
W ogóle jest bardzo rozmowny. Chociaż tylko do pewnych granic. Na przykład równie chętnie mówi o przestępstwach dokonywanych przez kompanów, o sobie i swoich wyczynach tylko wtedy, kiedy go przesłuchujący przygwoździ dowodami do ściany. Poza tym jest człowiekiem bardzo komunikatywnym, towarzyskim i nie stroniącym od popularności. W rozmowie z dziennikarzami telewizyjnymi miał nawet pretensję, że go kamerzysta ujął z tyłu, bo on bardzo chętnie ukazałby się na ekranie w całej okazałości.

A teczkę, o której była mowa wyżej, firma polonijna odzyskała. Tyle że bez zawartości.

Inżynier Antoni Wolański razem z Lisowskim kradł fiaty 125p i razem z nim za to 8 latek odsiedział. Zwany królem pięści Milanówka i okolic, bo podobno miał w garści straszliwe kopyto. Również jak Lisowski zaraz po wyjściu zwąchał się z Najmrodzkim i grał czołową rolę w gangu. Sprytny, inteligentny, bez skrupułów. W czerwcu 1983 r. spowodował wypadek w pijanym widzie. Oczywiście kradzionym polonezem. Po trzymiesięcznym pobycie w szpitalu, jak dał stamtąd nogę, tak długo pozostawał nieuchwytny. Jedyny z całego gangu. Wiadomo o nim było tylko jedno: że za wszelką cenę usiłuje wyjechać za granicę. Oczywiście nielegalnie lub na lewym paszporcie. Jednak został zatrzymany, o czym piszemy w następnym odcinku.

Mirosław Kowalski — „Fagas", lat 25, już kilkakrotnie przewijał się na kartach naszej opowieści. Przypominamy krótko: notowany, karany, poszukiwany listem gończym za włamania i niewywiązywanie się z obowiązku alimentacyjnego wobec pierwszej żony. O drugą dba. Ta druga, notowana prostytutka, podobnie jak jej siostra, szwagier — znany worycha. Prócz milicji i prokuratury poszukiwany również przez światek przestępczy za liczne przewalanki na niekorzyść kolegów z branży. Z tego też powodu nie miał wstępu do Śródmieścia i zawsze chodził w obstawie byłych zapaśników, co robili u niego za goryli (proszę wybaczyć przypadkowy rym), jasne, że nie za frajer. Charakter rozrywkowy. W ciągu trzech dni potrafił w knajpach przeputać z Piotrem Kniaziem, ps. „Pepe", 300 tysięcy złotych. Znaczy 100 patoli dziennie. Miał fiata 132 oraz volkswagena golfa na nazwisko żony. Cwaniak umiał wyjść z najgorszych opałów. Przypominam, że prysnął i z rąk samego Lachowskiego (patrz odcinek pierwszy). Nie speszył się nagłą wizytą milicji podczas swoich odwiedzin u rodziców. Powiedział przez drzwi: — Chwileczkę, jest tu ostry pies bokser, my go zaraz do łazienki i już otwieramy. I przeczekał bezpiecznie w łazience pod opieką boksera.

Cinkciarz i notoryczny oszust. Nie umie żyć bez kantów i nie potrafi być lojalny nawet wobec wspólników. Również wobec Najmrodzkiego. Często przemyśliwał, jak by go zrobić na szaro i zagarnąć jego szmal i biżuterię. Podobnie marzyli inni kompani „Saszłyka". Byli nawet gotowi na mokrą robotę. Plano-



wali go załatwić tuż przed jego ucieczką za granicę. Przyznają się do tego w śledztwie, ale nie na protokół (!). Oto jeszcze jedna ciekawostka, a raczej makabreska, świadcząca o tym, że uczciwość i lojalność nie są dzisiaj w cenie w żadnym towarzystwie.

Do kompanii należeli również Piotr Wiklina, 37-letni mechanik samochodowy, oraz Piotr Kniaź, zwany „Pepe", lat 22. Wiklina pomieszkiwał ze swoją mniej więcej 30-letnią przyjaciółką, Grażynką, ich sąsiadem był „Pepe", notabene śmiertelnie zakochany w Grażynce, z powodu której wielokrotnie knajackim obyczajem podcinał sobie żyły. Grażynka nie skąpiła wdzięków ani jednemu, ani drugiemu, obu naciągając jak tylko potrafiła, a potrafiła. Nie jest to być może, a nawet na pewno najważniejsze w całej opisywanej sprawie, ale przecież odrobina obyczajowego kolorytu przyda smaczku tej sadze polonezowego gangu.

Oprócz mamuśki, znaczy Sabiny Najmrodzkiej, na państwowym wikcie i opierunku przebywa również (1985 r.) Urszula Krawczyk. Straciła willę za 16 milionów, zyskała za to pewność, iż jej narzeczony nie nazywa się Józef Brzozowski, lecz Zdzisław Najmrodzki i jako żywo nie jest i nigdy nie był synem bogatego właściciela fermy, za którego zwykł się podawać. Trudno raczej, a nawet nie sposób uwierzyć panience, która jako była barmanka luksusowego lokalu poznała i otarła się już nieco o życie, iż tak do końca i bezgranicznie wierzyła swemu przyszłemu oblubieńcowi, że wszystkie te wspaniałości, którymi ją obsypywał, zostały nabyte za kieszonkowe otrzymywane przez Zdzicha od tatusia.

Pozostałych członków gangu wymieniłem już w innych miejscach swojej opowieści i nie sądzę, aby warto było jeszcze raz ich przypominać. A jeśli, to tyle tylko, że wszyscy żyli, jedli, pili, jeździli, wczasowali i balowali bogato, ubierali się elegancko. Że wszyscy, z wyjątkiem pań, egzystowali na lewych dowodach, ale prawdziwych blankietach i z prawdziwymi pieczątkami. Dlatego tak trudno było ich ujawnić i ująć. Dlatego też zapewne jeszcze wiele skradzionych przez gang polonezów będzie jeździło po naszych drogach z absolutną nieświadomością tego faktu ich obecnych właścicieli, być może również ze świadomą nieświadomością poniektórych.

Sprawę do dalszego prowadzenia przejął wówczas Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych.

I to już z grubsza biorąc koniec opowieści, choć jeszcze nie ostatni odcinek, o polonezowym gangu...

cdn.

ciąg dalszy ze s. 15

— Wie pan, co by było, gdyby żona się dowiedziała. Wolę powiedzieć, że zgubiłem, przepiłem, wszystko jedno, tylko nie, że podczas jej nieobecności miałem „panienkę".

A co na to milicja? Raczej niewiele. Prostytucja nie jest ani karalna, ani zabroniona, a tak w ogóle do niedawna to jej w zasadzie nie było. Teoretycznie oczywiście. Nie mieściła się w poprzednim modelu ustrojowym. A teraz?

Na razie jest jeszcze gorzej. Prostytucję zauważono, ale efektem tego jest jedynie stałe ograniczanie milicyjnych (czy policyjnych) uprawnień. Pod żadnym pozorem nie wolno rejestrować prostytutek. Wszelkie kartoteki są nielegalne. Prostytutkę można ścigać za popełnienie konkretnego przestępstwa czy wykroczenia. I na tym koniec.

Policje prawie wszystkich wysoko rozwiniętych krajów rejestrują prostytutki głównie jako źródła informacji. „Panienki", czasem żeby mieć spokój, chętnie współpracują i dostarczają wiadomości na temat tysięcy przestępstw i zbrodni. U nas nie wolno z tego korzystać. Przy obecnym niespotykanym w historii naszego kraju, zagrożeniu przestępczością kryminalną sekcje obyczajowe nieoficjalnie już od dawna zajmują się zupełnie innymi sprawami — zabójstwami, włamaniami mieszkaniowymi, napadami. Może więc niedługo zostaną rozwiązane oficjalnie?

Milicjantom nie wolno nawet doprowadzić „panienki" na obowiązkowe badania w przychodni „W". Kiedyś istniało takie niepisane prawo, że jak dziewczyna miała uaktualnione co 2 tygodnie zaświadczenie, że jest zdrowa, nic jej nie groziło. W przeciwnym wypadku milicjanci mogli ją wsadzić do radiowozu i zawieźć na badania. Teraz nawet to jest bezprawiem. A więc... niech zarażają.

Wydawałoby się, że groźba AIDS ograniczy podaż i popyt w tej branży. Nic z tych rzeczy. Prostytucja kwitnie nadal i to tym bardziej, im kryzys jest większy. Wiek dziewcząt z ulicy stale się obniża. Już 14-latki wychodzą w okolice dworca Centralnego i „Pigalaka". Przyjeżdżają najczęściej spoza Warszawy na wariata i tutaj próbują szczęścia.

— Różnie z nimi bywa — mówi ppor. Janina Sztylka z DUSW Warszawa-Śródmieście. — Raz zatrzymaliśmy nieletnią, zawiadomiliśmy jej rodziców, którzy natychmiast przyjechali po córkę z płaczem i zgrozą w oczach. A potem po paru tygodniach spotkaliśmy znowu tę samą dziewczynę na ulicy. I co się okazało? Jej rodzice już nie płaczą i w ogóle nie mają nic przeciw temu, bo córeczka oddaje im sporą część zarobionych pieniędzy.

A forsa w tej branży zawsze płynie. Choć nie jest to kokosowy interes. Niewiele dziewcząt tak naprawdę dorobiło się. Zarabiają sporo, ale lwia część ich zarobków idzie na opłacanie się.

KORYNT PO POLSKU



Każdemu i wszędzie. Od opiekuna począwszy, po właścicieli kwater prywatnych dla dziewcząt spoza stolicy, barmanów, portierów, szatniarzy, windziarzy, nie mówiąc już o recepcjonistach w hotelach. Reszta pieniędzy wydawana jest na ciuchy i kosmetyki. Niektóre z czasem zaczynają pić.

Tylko nielicznym dziewczynom udało się zrobić karierę. „Eski" mają swoje mieszkania, są jedynie na telefon dla zagranicznych biznesmenów, przyjeżdżających do Polski kilka razy w roku w interesach. Te dziewczyny jeżdżą najnowszymi modelami audi i mercedesa, są poza zasięgiem milicji czy kogokolwiek. Stać je nawet na prywatną obstawę, „goryli" i co tylko im przyjdzie do głowy.

Reszta wystaje na „Pigalaku" lub zamawia drinki w hotelowej restauracji albo w nocnym lokalu z dyskoteką i czeka na przygodnego klienta. Zresztą i tu granice są płynne. Kiedy hotele świeciły pustkami, „lokalówki" musiały pójść na ulicę. Gorzej oczywiście wejść z „Pigalaka" do hotelu. Tutaj konkurencja nie śpi. Trzeba mieć odpowiedni wiek, aparycję, no i przede wszystkim kogoś, kto pomoże dostać się do środka.

Poza tym zdecydowana większość dziewcząt z ulicy nie ma żadnych szans. Ledwo udało im się skończyć szkołę podstawową, nie potrafią powiedzieć, jaką książkę ostatnio czytały, nie znają tytułów nawet najbardziej znanych czasopism czy dzienników, są źle ubrane, bez odrobiny gustu i smaku i po prostu brzydkie, żeby nie powiedzieć odrażające. Ich klient w zasadzie nie może być trzeźwy, bo wówczas chyba by się nie zdecydował nawet za darmo.

Ale pijanych nie brak. I to nawet oficerów wojska występujących w mundurze, prowadzonych pod rękę przez dziewczynę w jeszcze wyższej chyba randze, gdyby tylko takie z upływem lat im przysługiwały.

Por. Marek Kujawa, kierownik sekcji obyczajowej SUSW w Warszawie, widzi jedno rozwiązanie. Po pierwsze dostrzec wreszcie ten problem, uznać, że istnieje i w związku z jego niekaralnością zalegalizować go całkowicie. Dlaczego ma się to odbywać na ulicy, w bramach, na parkingach czy prywatnych, nierejestrowanych kwaterach. Niech i państwo na tym zarobi. Jeśli powstaną akceptowane we wszystkich krajach Zachodu domy publiczne, dziewczyny będą przynajmniej pod stałą kontrolą lekarską, będą zdrowe i bezpieczne. Podobnie ich klienci, których przy okazji nikt nie okradnie i nie pobije. A tak obecny Korynt po polsku jest wyłączony spod wszelkiej kontroli, nieopodatkowany i pełen brudu, ochlejstwa i szarzyzny.

O AIDS już tam słyszano, ale zasada beztroski bierze górę. Niektóre z dziewcząt uważają nawet, że zarazić mogą się tylko homoseksualiści. A ile z nich jest już zarażonych?

— Nie, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat — mówi po namyśle moja rozmówczyni. — Dlaczego akurat ja miałabym się zarazić. Zresztą stosuję czasem środki zapobiegające. Nie, ze swoim chłopakiem nie, tylko z klientami i to też nie ze wszystkimi. Niektórzy wyglądają przecież tak przyzwoicie...

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI





MÓJ PIES



PRZYSTĘPUJEMY DO TRESURY

Zajęcia z tresury podzielimy umownie na dwa okresy: ogólnego posłuszeństwa i ćwiczeń specjalnych.

Pierwszy okres obejmuje następujące ćwiczenia: przyzwyczajanie psa do nazwy, osprzętu (obroży, smyczy, kagańca), prowadzenie przy nodze, siadanie, warowanie, dawanie głosu, pozostawanie bez przewodnika, przychodzenie do nogi, pokonywanie przeszkód, czołganie, aportowanie (także z wody), przyzwyczajanie do huku.

Opanowanie tych ćwiczeń warunkuje przystąpienie do ćwiczeń specjalnych: obrony przewodnika, pilnowania przedmiotów, nieprzyjmowania pokarmu od osób obcych, pracy węchowej psa.

Proszę jednak pamiętać, że tresurę rozpoczynamy z psem dojrzałym fizycznie i psychicznie. Dojrzałość tę psy osiągają około 12 miesiąca życia. Piszę około, gdyż nawet psy tej samej rasy wykazują różnice w rozwoju. Zależą one między innymi od sposobów karmienia psa, utrzymywania więzi, możliwości wybiegania.

Przystąpienie ze zbyt młodym psem do intensywnej tresury może wpłynąć niekorzystnie na organizm psa i zahamować jego rozwój. Podobne rezultaty może dać niewłaściwie prowadzona tresura.

Ale i tresura źle wychowanego szczeniaka przysporzy nam wielu trudności, będzie wymagała więcej czasu i może nie dać takich wyników, jakich można by oczekiwać. Dlatego ważne jest również wstępne, ogólne przygotowanie młodego psa (od szczenięcia) do zadań, jakich będziemy oczekiwać od psa dorosłego.

Należy również pamiętać o uwagach z poprzednich artykułów, dotyczących specyficznego postępowania z psem i rozumienia jego zachowań. „Wy nie wiecie, a ja wiem, jak rozmawiać trzeba z psem..." powiada bohater jednego z wierszyków J. Brzechwy, a ja myślę, że i tę umiejętność już Państwo posiadacie lub posiądziecie dzięki kontaktom ze swoim psem i, mam nadzieję, lekturze naszych artykułów.

JAN WALICKI
zdj. arch.

NA PÓŁCE Z KSIĄŻKAMI

● **LITERATURA PIĘKNA**

Ajschylos, Sofokles, Eurypides ANTOLOGIA TRAGEDII GRECKIEJ. (Wyd. Literackie, s. 480, cena 3700 zł).

Jerzy Pertek MAŁA FLOTA WIELKA DUCHEM. Książka o Polakach na morzu w latach II wojny światowej (Wyd. Poznańskie, s. 624, cena 3500 zł).

Wisława Szymborska POEZJE. Dwujęzyczny polsko-angielski wybór poezji zawiera wiersze pochodzące z całego okresu twórczości poetki. (Wyd. Literackie, s. 240, cena 2500 zł).

Józef Kuropieska NIEPRZEWIDZIANE PRZYGODY. Przedstawiając w porządku chronologicznym koleje swego losu, tym razem autor zatrzymał się na „okresie błędów i wypaczeń", na latach zimnej wojny, latach procesów o szpiegostwo i dywersję. (Wyd. Literackie, s. 390, cena 2500 zł).

Władysław Terlecki CIERŃ I LAUR. Wielowarstwowa fabuła powieści skupia się wokół postaci znanego pisarza XIX wieku, który w monologu wewnętrznym stara się odpowiedzieć sobie na pytania, czy i w jakim stopniu jego twórczość i działalność artystyczna i polityczna spełniały wymagania czasów i społeczeństwa, w którym żył. (Wyd. Literackie, s. 332, cena 2500 zł).

Gu Hua MIASTECZKO HIBISKUS. Powieść zawiera wyjątkowo plastyczny opis wydarzeń burzliwego okresu w najnowszych dziejach chińskiego narodu, w tym „wielkiego skoku" (1958—1960) i „rewolucji kulturalnej" (1966—1976). Tłum. z chińskiego Bogdan Góralczyk. (Wyd. Literackie, s. 288, cena 2300 zł).

Czesław Miłosz WIDZENIE NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO. (Wyd. Literackie, s. 208, cena 2000 zł).

Czesław Miłosz HYMN O PERLE. (Wyd. Literackie, s. 112, cena 1100 zł).

Helena Mniszek ORDYNAT MICHOROWSKI. (Wyd. Literackie, s. 224, cena 2900 zł).

Władysław Strumski POGROMCA PÓŁKSIĘŻYCA. Powieść została osnuta na tle trudnych wydarzeń w dziejach Polski rozgrywających się w latach 1672—1674. Polska w tym czasie traci Kamieniec i zawiera haniebny pokój w Buczaczu. (Wyd. Lubelskie, s. 288, cena 1800 zł).

Roman Bratny BŁAZEN KRÓLESTWA NIEBIESKIEGO. (Wyd. MON, s. 200, cena 1600 zł).

Edward Kupiszewski MIŁOŚĆ ZOSTAWIA CISZĘ. Książka o tematyce współczesnej. (LSW, s. 264, cena 1600 zł).

Dariusz Bitner KFAZIMODO. Współczesna powieść psychologiczno-obyczajowa. (Wyd. Literackie, s. 296 cena 1200 zł).

Wasyl Kinow OPOWIADANIA. (LSW, s. 176, cena 850 zł).

Marian Pilot SIEŃ. Jest to pełna czułości i okrutna zarazem powieść o ludziach wysadzonych z siodła i wydziedziczonych, o ich głębokiej tęsknocie za swoim miejscem pod słońcem i namiętnej, a nie zawsze w pełni świadomej, potrzebie miłości. (LSW, s. 116, cena 700 zł).

● **HISTORIA**

Ryszard Torzecki KWESTIA UKRAIŃSKA W POLSCE W LATACH 1923—1929. (Wyd. Literackie, s. 468, cena 3900 zł).

Ernesto Che Guevara EPIZODY WOJNY REWOLUCYJNEJ. Tłum. z hiszpańskiego. (Wyd. Literackie, s. 244, cena 1800 zł).

● **NAUKA O LITERATURZE**

Barbara Wachowicz CZAS NASTURCJI. Ścieżkami Kasprowicza. Pierwsza obszerna biografia Jana Kasprowicza. (Wyd. Sport i Turystyka, s. 412, cena 8700 zł).

Adolf Rudnicki STO LAT TEMU UMARŁ DOSTOJEWSKI. (Wyd. Literackie, s. 204, cena 1300 zł).

A.Sz.

PROSZĘ O GŁOS

OJCZYSTE ŚMIETNISKO

Podróże kolejami wciąż dostarczają mi niezapomnianych wrażeń. Pomijam podłe samopoczucie spowodowane przebywaniem w zatłoczonych, zadymionych przedziałach z siwą warstwą popiołu i niedopałków na podłodze. Ileż jednak doznań i refleksji przynosi obserwacja przemykających za oknem krajobrazów.

Nie ma doprawdy bardziej przytłaczającego widoku niż Polska oglądana przez okopcone i zapaćkane na rdzawo szyby wagonu. Zwłaszcza zimą, gdy brak śniegu ujawnia pokłady brudu i niechlujstwa skrywane przez inne pory roku w gęstwinie chwastów.

Przemierzając niedawno dystans z Katowic do Krakowa miałem wątpliwą przyjemność podziwiania rozciągającego się po obu stronach toru gigantycznego śmietniska. Na ów smutny obraz składały się dzikie wysypiska odpadków, rozwalone parkany, rozmaite składowiska rupieci i złomu. U wjazdu do grodu Kraka ujrzałem ogromne połacie torowisk przybranych różnobarwną mozaiką papierów, szmat, plastykowych i szklanych butelek. Wygląda na to, iż szacownych PKP nie stać na kubły i śmietniczki skoro nieczystości, ze stojących na bocznicy składów, sprzątacze wymiatają wprost na ziemię.

Przygnębiający to pejzaż u bram miasta wpisanego przez UNESCO na listę dziedzictwa światowej kultury, odwiedzanego corocznie przez miliony przyjezdnych, także z zagranicy.

Problem jednak nie dotyczy wyłącznie Śląska czy Krakowa. Rozejrzyjmy się bacznie dokoła. Zobaczymy osiedlowe skwerki upstrzone papierzyskami roznoszonymi przez wiatr z wiecznie przepełnionych kontenerów, przewrócone kosze na przystankach, obsikane bramy, odrapane klatki schodowe, wyrwy w jezdniach i rozkopane chodniki.

Kogo winić za taką sytuację? Czy tylko pracowników PKP, MPO, ADM, MZUiM, którym do niedawna, w myśl powszechnej argumentacji „system" nie pozwalał na przejęcie się obowiązkami? Czy nas wszystkich, godzących się na ów stan rzeczy, przywykłych, nie zauważających na co dzień hałd śmieci i wszechogarniającego nieporządku? Czy dopiero przeniesienie w inną przestrzeń musi otwierać nam oczy? I wreszcie, co zrobić, aby było inaczej?

Wśród wielu niepochlebnych opinii krążących o Polakach w świecie znajdujemy i tą, mówiącą, iż jest to nacja o niezbyt wielkim umiłowaniu porządku. Rzeczywistość, niestety potwierdza tę przykrą tezę. Wciąż łatwiej zmienić u nas ustrój niż mentalność i przyzwyczajenia rodaków.

AKP

§ Radca prawny odpowiada

JAK UTWORZYĆ STOWARZYSZENIE?

Czytelników zainteresowanych utworzeniem stowarzyszenia informujemy, iż zasady zrzeszania się w stowarzyszeniach, tryb ich tworzenia oraz zasady ich funkcjonowania określa ustawa z 7 kwietnia 1989 r. „Prawo o stowarzyszeniach" (Dz.U. nr 20, poz. 104). Zgodnie z jej przepisami prawo tworzenia stowarzyszeń przysługuje obywatelom polskim mającym pełną zdolność do czynności prawnych i nie pozbawionym praw publicznych, natomiast cudzoziemcom spełniającym wym. warunki wówczas, gdy mają miejsce zamieszkania na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej.

W celu utworzenia stowarzyszenia, które miałoby osobowość prawną jest wymagana liczba co najmniej 15 osób spełniających ww. warunki, uchwalenie statutu stowarzyszenia i wybór komitetu założycielskiego. W statucie należy określić przede wszystkim: nazwę stowarzyszenia, jego teren działania i siedzibę, cele i sposoby ich realizacji, sposób nabywania i utraty członkostwa, przyczyny utraty członkostwa oraz prawa i obowiązki członków, władze stowarzyszenia, tryb dokonywania ich wyboru, uzupełniania składu oraz kompetencje, sposób reprezentowania stowarzyszenia oraz zaciągania zobowiązań majątkowych, a także warunki ważności jego uchwał, sposób uzyskiwania środków finansowych oraz ustanawiania składek członkowskich, zasady dokonywania zmian statutu oraz sposób rozwiązania się stowarzyszenia. Stowarzyszenie jest obowiązane posiadać zarząd i organ kontroli wewnętrznej. Jeżeli stowarzyszenie zamierza tworzyć terenowe jednostki organizacyjne, jest obowiązane określić w statucie strukturę organizacyjną i zasady tworzenia tych jednostek. Komitet założycielski powinien złożyć do sądu wojewódzkiego (właściwego ze względu na siedzibę stowarzyszenia) wniosek o rejestrację stowarzyszenia. Załączyć należy statut, listę założycieli (imiona, nazwiska, data i miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania) z ich własnoręcznymi podpisami, protokół z wyboru komitetu założycielskiego, a także informację o adresie tymczasowej siedziby stowarzyszenia.

W celu utworzenia stowarzyszenia zwykłego, tj. nie posiadającego osobowości prawnej, wystarczy grupa trzech osób, uchwalenie regulaminu działalności określającego w szczególności jego nazwę, cel, teren i środki działania, siedzibę oraz przedstawiciela reprezentującego stowarzyszenie. Założyciele stowarzyszenia zwykłego mają obowiązek pisemnie poinformować terenowy organ administracji państwowej o właściwości szczególnej w sprawach społ.-adm. stopnia wojewódzkiego i podać ww. dane.

Grażyna Grzązek





POKOLENIOWA SZTAFETA

Z powodzeniem uczestniczyli w turnieju z udziałem jednostek Juventusu Turyn, Atletico Madryt, Rijeki zaś w równie silnie obsadzonym „Grand Prix" Wiednia po zwycięstwie nad angielskim Stoke City 3 : 1 zajęli trzecie miejsce. W eliminacjach uzyskali następujące rezultaty: z Vienną i Rapidem po 0 : 0, Austrią 3 : 1, Red Stars 2 : 0 i Vienerfeld 4 : 0.

Nic więc dziwnego, iż podsumowanie międzynarodowego sezonu odbyło się w uroczystej oprawie. Na spotkanie przybyli przedstawiciele zarządu Wisły, odśpiewano klubowy hymn, znany dziennikarz krakowskiej TV red. Andrzej Szeląg przeprowadził wywiad z braćmi Szymanowskimi Grzegorzem i Łukaszem. Obok stał Grzegorz Kmiecik. Nie, to nie pomyłka, po prostu sportową karierę w sekcji piłki nożnej krakowskiej Wisły rozpoczęło nowe pokolenie, a wśród nich synowie znanych przed laty piłkarzy Antoniego Szymanowskiego i Kazimierza Kmiecika.

Czy o nich, jak i o ich kolegach z piłkarskiej szkółki dr. Stanisława Chemicza: Marcinie Czekaju, Tomaszu Orzechowskim, Patryku Pawlikowskim, Michale Michaliszynie, Pawle Juskowiczu i innych usłyszymy za kilkanaście lat? Dodajmy, że najlepszym zawodnikiem turnieju wiedeńskiego, a zarazem królem strzelców został Krzysztof Piszczek. Faktem też jest, iż szkoleniowcy: Henryk Szymanowski, Zdzisław Kapka, Robert Gaszyński i Kazimierz Kmiecik w samych superlatywach wyrażali się o swoich podopiecznych. Wielu z ponad 80-osobowej gromady ma już za sobą trzy lata prawdziwych treningów, jak i występy za granicami kraju. Czy zagrają kiedyś w pierwszej drużynie Wisły, reprezentacji kraju, czas pokaże. Obecnie marzeniem każdego z nich jest zakwalifikowanie się do drużyny juniorów.

I właśnie uroczystym przyrzeczeniem złożonym na sztandar klubu zobowiązali się do prowadzenia sportowego trybu życia, wzorowego zachowania się i solidnej nauki i to nie tylko piłkarskiego rzemiosła. Wiadomo, czym skorupka za młodu...

jur.
zdj. K. Mokrzyszewski

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Zdobywcą nagrody ufundowanej przez zarząd Wisły Kraków został Jerzy Chlewicki ze Świnoujścia. Gratulujemy. Po trzech edycjach konkursu najwięcej punktów na swoim koncie zgromadzili: Roman Strzałkowski, Roman Majewski, Bazyli Aleksiejuk, Janusz Grochowski po 11. Kolejne miejsca zajmują: Rafał Cisek, Wojciech Kafel i Adam Łukaszewicz (po 10 pkt) oraz Edward Kłoda (9 pkt) i Andrzej Woźniakiewicz, Henryk Domagała, Marian Borowicz (po 8 pkt.).

A oto kolejne pytania:

1. Wisła Kraków przegrała rywalizację o mistrzostwo Polski w 1923 r. w ostatnich minutach dogrywki. Podaj nazwę drużyny z którą spotkała się w finale piłkarskich rozgrywek.
2. O pierwszym mistrzu kraju mówiono, że to „twardy zespół, mający w swoim składzie świetnych przebojowców, najbardziej stylowy". O jaką drużynę chodzi?
3. W sezonie 1977/78 piłkarze Wisły Kraków stali się bohaterami rozgrywek. Co o tym zadecydowało?

Wśród nadawców prawidłowych odpowiedzi nadesłanych pod adresem redakcji z dopiskiem „Kibic doskonały" (w ciągu 10 dni) rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez Gwardyjski Pion Sportowy MSW.

magazyn 997 kryminalny

W służbie NARODU

PISMO RESORTU SPRAW WEWNĘTRZNYCH – UKAZUJE SIĘ OD 14 IV 1945 ROKU Wydawca MSW.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (zastępca red. naczelnego, 45-61-72 lub 20-16-39), **Ryszard Hrycyk** (red. graficzny), **JERZY KIRZYŃSKI** (kierownik dz. zawodowego, 45-61-15), **ROMUALD ŁABANOW** (redaktor naczelny, 20-54-18 lub z MSW 149-70), **Henryk Makarski** (oddział red. w Lublinie, 201-01 w. 4605), **Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR** (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), **Cezary Woliński, Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTER: **Krzysztof Mokrzyszewski**

ADIUSTATOR: **Agata Guzdek-Wrotna**

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Maria Pawlak, Teresa Tomaszewska, 45-68-66**

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA: Prenumeratą wyłącznie za pośrednictwem CKW dla jednostek resortu spraw wewnętrznych, WP i instytucji.

Wpłata na prenumeratę na II kwartał – do 10 marca 1990 r. w wysokości 6500 zł. Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu kierować do RSW „Prasa–Książka–Ruch" Centralny Kolportaż Wojskowy 00-950 Warszawa, ul. Wronia 29/31, tel. 20-12-61 w. 338. Wpłaty należy dokonywać na konto CKW w PBK XIII O/Warszawa nr 370044-001632.
Wysokość wpłaty może ulec zwiększeniu.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 21 II 1990
Zam. 2614.
F-79
REDAKTOR DYŻURNY
Jerzy Kirzyński

panorama 997



— To lista osób, które w naszym rejonie nie pędzą samogonu.

„Krokodil"

MYŚLI

Jedni są mądrzy w swojej specjalności i głupi poza nią, inni właśnie odwrotnie. Istnieją nawet ludzie mądrzy w głupi sposób i ludzie głupi w sposób rozumny, harmonijny, w których myśleniu założenie tylko jest złe, ale dalej wszystko w porządku.

Z. Nałkowska

Prawo pozwalania to jest przeważnie prawo niepozwalania.

T. Kotarbiński

Ambicja przesłania ludziom cały horyzont. Czasami trzeba umieć przeskoczyć swoją ambicję tylko po to, żeby ją zobaczyć.

E. Canetti

Słabość charakteru — oto główne źródło nieprawości. Pierwsze kłamstwo rodzi się z obawy przed urażeniem innych.

W. Rozanow

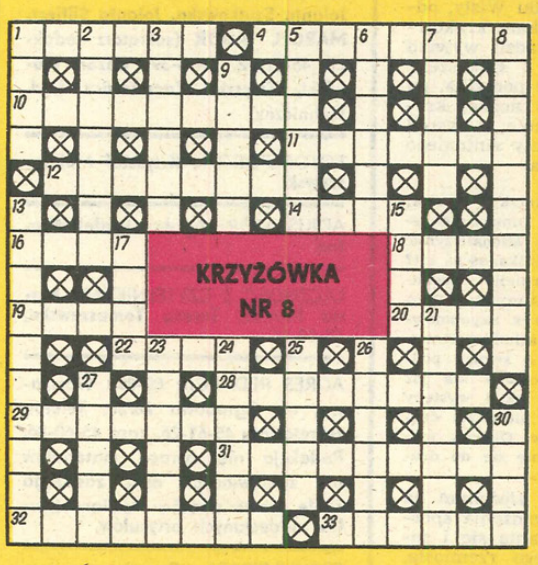
Żaden kodeks nie przewiduje kar za gwałcenie sumień ludzkich.

H. Safrin



Zapamiętaj:
Dobroć serca obejmuje obszar większy aniżeli szerokie pole sprawiedliwości.
J. W. Goethe

KRZYŻÓWKA NR 8



POZIOMO: 1) głupiec, kretyn, 4) płomyk nadziei, 10) jedna z najważniejszych międzynarodowych imprez sportowych, 11) miejscowość na Półw. Helskim, 12) wybitny skrzypek radziecki, laureat Konkursu H. Wieniawskiego, 14) zamek drzwiowy, 16) wchodzi w skład brygady, 18) podróż statkiem, 19) marka rln-owskich samochodów, 20) jeden ze zmysłów, 22) bieg rzeki, 28) zbytnia swoboda, niesforność, 29) ryba z rzędu płastug, 31) szkoła średnia, 32) panieńskie lub mężowskie, 33) burza morska.

PIONOWO: 1) bożyszcze, 2) monogram, 3) okładzina ścienna, 5) domena Kasparowa, 6) z Tel-Awiwem, 7) umysł, 8) działaczka, 9) dodatkowy pojedynek eliminacyjny decydujący o awansie jednej z drużyn, 13) kryterium, 15) syn Afrodyty i Aresa, 17) szyk bojowy eskadry lotniczej, 21) najwybitniejszy polski malarz historyczny, 23) zalecanki, 24) typ aktora, 25) we wrześniu 1939 r. dowodził obroną Warszawy, 26) wśród budowlanych, 27) „ścięcie" tenisowe, 30) halucynacja, przywidzenie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 8". Do rozlosowania 5 bonów oszczędnościowych każdy wartości po

5000 ZŁOTYCH

Rozwiązanie krzyżówki nr 51—52

POZIOMO: Celtik, Islandia, licytacja, nadanie, ambulans, ansa, cent, usta, owoc, opój, Apis, zaczepka, sokista, Turczynka, oczepiny, warkot. PIONOWO: cela, liczman, intruz, szansa, Adidas, Dubna, akceptacja, schab, uchodźstwo, auto, taca, pakunek, postęp, szatan, ochra, beczka, skecz, kant.

Bon oszczędnościowy wartości 5000 zł wylosował Wiesław Bartosz, 67-300 Szprotawa, Os. Słoneczne 7/16.

DO POCZYTANIA

Pojedynki, jako honorowy sposób rozstrzygania sporów i zadośćuczynienia za obrazę, były plagą wielu armii. W szeregach Wojska Polskiego bardzo energicznie zwalczał je król Jan III Sobieski. Jednakże na najbardziej skuteczny pomysł wpadł rząd stanowy Missisipi w USA. W roku 1937 wydał on rozporządzenie, mocą którego każdy z pojedynkujących się, który został przy życiu, obowiązany był spłacić długi poległego. Wkrótce potem liczba pojedynków gwałtownie zmalała.

*

W miejscowości St. Petersburg na Florydzie ogłoszono konkurs na nauczyciela. Musi on spełnić wyjątkowo trudne warunki, gdyż „winien posiadać umiejętność dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia, ale... bez kalkulatora!".

*

Pisarz włoski Carlo Collodi pisząc bajkę „Przygody Pinokia" nie przypuszczał, że oskarży się go o okrucieństwo. Tymczasem w japońskim mieście Nagoya nie tylko zarzucono mu ten grzech, ale utworzono nawet „Towarzystwo na rzecz poprawienia Pinokia". Towarzystwo twierdzi, że we wszystkich 19 japońskich wydaniach tej bajki rzuca się w oczy wyszydzanie kalek-pechowców: kulawego kota i ślepej lisicy. Tygodnik „Time" doniósł, że Włosi, miłośnicy Collodiego, proponują w odpowiedzi na to zakazać importu motocykli i samochodów japońskiej marki „Honda".

*

...w Warszawie powstanie kolej podziemna! Wedle informacji udzielonych przez dyrekcję tramwajów miejskich, projekt kolei podziemnej przewiduje ogółem trasę 46 km, z czego 26 km kolei podziemnej, a 20 km kolei górnej. Sieć ta może być w normalnych warunkach sfinansowania urzeczywistniona w ciągu 35 lat — pisała prasa w 1931 r.

FRASZKI

O NAZWIE

Milicja czy policja? Najważniejsze,
aby życie stało się bezpieczniejsze.

OWOCE PLURALIZMU

Pluralizm oznacza, jak wiemy,
że różne poglądy szanujemy.
Dlatego ciesząc się pluralizmem
ciągle ktoś „kończy" z komunizmem.

PRZYKŁAD

Dobry przykład z „góry" idzie...
Czy będzie się go widzieć?

Marian Frąk

Z NASZEGO KLASERA

Bułgaria wydała w 1983 r. czteroznaczkową serię poświęconą historii kolejnictwa. Na znaczkach przedstawiono stare typy lokomotyw angielskich z pierwszej połowy XIX w.

Zb. Le.

